

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

CAŁE ŻYCIE BIEDNA

Powieść

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PRZEDMOWA

Oddana w ręce polskiego czytelnika powieść Kraszewskiego o zupełnie nieznanym tytule należy do książek niesłusznie „przysypanych pyłem historii“. Nie wznawiana od kilkudziesięciu lat stała się pozycją znaną tylko wąskiemu kołu polonistów specjalizujących się w zagadnieniach pierwszej połowy XIX wieku. Tymczasem jest to książka żywa, mogąca w pełni przemówić do dzisiejszego czytelnika prawdą pokazanego świata i wzruszyć niezawinioną krzywdą ludzką.

Całe życie biedna jest powieścią współczesną, czyli jak się to zwykle nazywało powieścią obyczajową. Kreśli wypadek autentyczny, który miał miejsce około 1840 roku i był znany pisarzowi bezpośrednio z kroniki sąsiedzkich skandali; historię nieszczęśliwego małżeństwa panny z szlacheckiego dworku zakończonego nieudaną ucieczką i przedwczesną, nikomu niepotrzebną śmiercią.

Dzisiejszy czytelnik z prawdziwą ciekawością wejrzy w ten świat sprzed wieku, w sprawy ludzkie tak zupełnie inaczej ukształtowane niż nasze, a tak mało wówczas poruszane. Ten okres życia narodu polskiego bardzo bowiem rzadko dochodził do głosu na kartach powieści, a jeżeli się pojawiał, to najczęściej mało prawdziwie. Współcześnie pisano bowiem o sprawach dnia codziennego nie tak, jak było rzeczywiście, ale tak, jak „być powinno“ (według oczywiście zdania autorów); nie ukazywano prawdziwego oblicza dnia, ale – „ideały“ oparte na zupełnie zmyślonych i mało prawdopodobnych faktach i zupełnie nieprawdziwych ludziach nigdzie i nigdy nie żyjących.

A okres, który na własne oczy widział jeszcze Kraszewski jako młody człowiek, był wart uwieczniania. Na zapadłej prowincji gospodarowano jak za czasów Jagiellonów: w starych dworach przechowywało się jeszcze feudalne prawo rodzinne sprzed kilku stuleci oparte na surowej władzy ojca nad dziećmi i dziedzica nad pańszczyźnianymi chłopami.

Ale Kraszewski bynajmniej nie napisał tej powieści dla samego tylko uwiecznienia cichego dworku. Miał wiele do powiedzenia o toczącym się życiu i ludzkich sprawach. W ciągu czterech lat powstało kilka ciekawych powieści¹ w których otaczający go świat został obejrzany wszechstronnie i oceniony. Pisarz, zaczął od spraw, które skandal sąsiedzki wyciągnął na światło dzienne: od prawa rodzinnego własnego środowiska.

Bohaterką powieści jest miła, dobra, przystojna dziewczyna. Ale to jeszcze nie wszystko, aby być szczęśliwą. Rodzice Anny zubożeli i kochanej jedynaczce groził los panny bez posagu. Jedyne słuszne było to, co robili. Oddali ją dalekiej wprawdzie i mało znanej, ale za to samotnej krewnej na wychowanie, która obiecała dziewczynę wyposażyć. I od tej chwili zaczęły się nieszczęścia, które tłumaczą i uzasadniają tytuł powieści. Nieszczęściem była przede wszystkim dla Anny zmiana środowiska. Ciotka była osobą staroświecką i zgodnie ze swoimi przyzwyczajeniami wychowywała Annę. Dziewczyna zaczęła pędzić życie śmiertelnie nudne dzieląc je między dłuhanie nieśmiertelnej pończochy, drobne zajęcia gospodarskie a wyjazdy do kościoła. Ciotka była nadto osobą bardzo prymitywną. Nie uznawała nawet tego, co w zamożniejszych kołach ziemiańskich zyskało sobie już od dawna prawa obywatelstwa.

„Fortepian zdawał się ciotce nieskończenie dziwny przy pozytywku dla kanarków, innej książki nad nabożną nie pozwoliłaby czytać uważając to za największą z nieprzyzwoitości dla panny, śpiewu nie tolerowała wcale, skoku i wesołości wzbraniała surowo, wynurzeń i łez

¹ *Ułana* i *Latarnia czarnoksiężka*.

także strzegła jak najpilniej. Kładła na nos okulary, aby zobaczyć, co panna Anna rysuje, i darła niemiłosiernie jej próbki mając tę sztukę za coś szatańskiego i nieprzyzwoitego dla kobiety.“

Ale Anna nie buntuje się i nawet nie próbuje namawiać bardzo tkliwie kochających ją rodziców do zmiany decyzji. Jej bierność to w dużym stopniu uznanie takiej linii życia za linię konieczną. W domu ubogich rodziców jako panna bez posagu byłaby zbyt wielkim ciężarem. Posag jest jej jedynym w zasadzie atutem życiowym, tak jak małżeństwo – jedynym celem życia. Dlatego późniejsze sieroctwo właściwie nic w jej życiu nie zmienia.

Ciotka czuła się uprawniona do surowej krytyki jej rodziców: „Bardzo dobrze płakać po rodzicach, ale w miarę, aspanna masz we mnie większą dobrodziejkę, oni aspannie nic nie zostawili i, gdyby nie ja, to byś teraz kawałka chleba nie miała.“

Taki punkt widzenia ciotki wcale nie dowodzi jej prymitywu uczuciowego. W skali współczesnych ocen rzeczywiście ciotka odgrywała w życiu Anny rolę wprost opatrnościową i zasługiwała na większą wdzięczność i przywiązanie aniżeli ubodzy rodzice. Tutaj dochodzimy do centralnego zagadnienia powieści: do społecznej i rodzinnej sytuacji dziewcząt poprzedzającej fakt wyjścia za mąż. Zarówno rodzice, jak i później ciotka, patrzą na dziewczynę głównie jako na przyszłą żonę, jest dla nich „panną na wydaniu“. Anna w domu ciotki nie żyje, ale dożywa lat w oczekiwaniu zmiany swojej życiowej sytuacji. U podstaw surowej pedagogiki ciotki leży coś więcej aniżeli dziwactwo. Ciotka wychowuje ją właśnie tak jak w jej środowisku wychowywano „pannę na wydaniu“. Zwalczanie jakichkolwiek zainteresowań nawet tak niewinnych i nie absorbujących jak muzyka czy rysunki było w jej oczach równoznaczne ze skromnością. Surowość miała wyrobić w Annie posłuszeństwo i łagodność. Ale zwróćmy uwagę, jak zupełnie nie była Anna przygotowana do trudnych obowiązków przyszłej gospodyni. Społeczna praktyka z góry obciążała tym głównym zadaniem zamężnej kobiety jakąś płatną służbę. Anna zabawia ciocię, pilnuje pieski, a czasem zajmuje się pracą w ogródku i to tylko kwiatowym. Gdyby Anna była w domu rodziców, to co leżało u podstaw postępowania nieco zdziwaczałej ciotki, zastąpione byłoby oczywiście formami bardziej tkliwymi, ale cel byłby ten sam. Cała pedagogika rodziców obracałaby się również dookoła sprawy przyszłego zamążpójścia dziewczyny. Wyglądałoby to może tak, jak zanotowali nam to współcześni w literackich recenzjach. Cytuję uwagi pióra bardzo wybitnego rosyjskiego filozofa i krytyka literackiego Wissariona Bielińskiego:

„Rosyjska dziewczyna nie jest kobietą w znaczeniu europejskim, nie jest człowiekiem, lecz po prostu panną na wydaniu – pisał Bieliński. – Kiedy jest jeszcze dzieckiem, to wszystkich mężczyzn, których widuje w domu, uważa za kandydatów na narzeczonych i często obiecuje wyjść za mąż za swojego tatusia lub brata. Jeszcze w kołysce i matka, i ojciec, i siostry, i bracia, i mamki, i niańki tłumaczą jej, że jest narzeczoną i powinna mieć narzeczonego. Za ledwie skończy dwanaście lat, a już matka karcąc ją za lenistwo lub nieodpowiednie zachowanie się mówi: „i nie wstyd panience! Przecież już jesteś panną na wydaniu!“ Nic więc dziwnego, że nie umie ona patrzeć na siebie jak na człowieka, jak na istotę rodzaju żeńskiego, a widzi w sobie tylko n a r z e c z o n ą. Czy można się dziwić wobec tego, że od najmłodszych lat do późnej młodości, a czasem nawet i do starości, wszystkie jej myśli i marzenia, wszystkie dążenia skupione są dookoła jednej idée fixe² tj. małżeństwa, że jedynym jej pragnieniem i celem życia jest wyjście za mąż, gdyż poza tym niczego ona więcej nie rozumie i nie pragnie, o niczym więcej nie myśli, a w każdym niezonatym mężczyźnie widzi wyłącznie kandydata na męża³.

² Idée fixe (franc.) – mania, uporczywa myśl

³ Bieliński „Wybór pism o Puszkynie“, recenzja „Eugeniusza Oniegina“ wyd. Wrocław 1953, s. 210211.

W domu ciotki mówiło się wiele o przyszłym mężu Anny, ale w sposób zupełnie jednostronny. Mówiła tylko ciotka i ciotka określała wymagane jego zalety. Anna milczała i przyjmowała uwagi cioci zupełnie biernie. Była bardzo nieśmiała. Nie miała odwagi rozmawiać z ciocią, a już ten temat w środowisku prowincjonalnym był uważany dla panny za nieprzyzwoity. Mężczyzn nie widywała zupełnie i z przerażeniem myślała o zmianie domu ciotki na swój własny. Anna pozbawiona była nawet tych małych przyjemności i złudzeń, z którymi wiązały się zabiegi matrymonialne w środowisku zamożniejszym. Karnawałowe zabawy, liczne spotkania towarzyskie oswajały młodą dziewczynę z towarzystwem mężczyzn i dawały złudzenia uczuciowego podbudowania decyzji życiowych.

W środowisku Anny sprawy wyglądały o wiele smutniej. Do dworku na zapadłej prowincji rzadko przyjeżdżali goście. Wizyty męskie miały ściśle określony charakter. Panna wychodziła do gości „pokazać” się i siadała milcząco. Jesteśmy bowiem w środowisku i w epoce, gdzie panny „wydawało się” jeszcze za maż i to „wydawało” w dosłownym tego wyrazu znaczeniu; nie tylko bowiem bez zgody głównie zainteresowanej, ale nawet wbrew jej protestom. „Męża malowała (ciotka) zawsze siostrzenicy jako rzecz, którą dają starsi nie pytając zezwolenia panny, również jak jej sprawiają suknię lub trzewiki”.

Dlatego mimo łez i omdleń Anna została żoną „sąsiada”, którego wybrała jej ciotka.

Despotyzm ciotki płynął z tego samego źródła, co cały system wychowawczy: z poglądów na stanowisko społeczne dziewczyny, z praktyki bezwzględności posłuszeństwa dziecka, a zwłaszcza kobiety władzy rodzicielskiej i opiekuńczej. Czytelnik z prawdziwym zainteresowaniem przeczytał rozdział VI opisujący przebieg decydującej rozmowy ciotki z Anną. Powieść pokazuje nam wyraźnie, że pogląd ten, nie był wcale odosobniony. Epizody weselne z kilkakrotnym omdleniem oblubienicy wzbudziły w zasadzie więcej zwykłych sąsiedzkich plotek aniżeli współczucia, a ucieczka przed mężem – dużo wesołości.

Ten epizod, kiedy Annę zemdloną znajdują w ogródku i wnoszą do małżeńskiej sypialni, jest dla dzisiejszego czytelnika najbardziej zastanawiający i budzący refleksje, Kraszewski w świetnym skrócie pokazał przeżycia młodej dziewczyny i pokazał je słusznie jako przeżycia, które w wielu wypadkach mogły się stać źródłem niezwalczonych urazów psychicznych.

Feudalny zwyczaj kojarzenia małżeństw nabrał pod piórem Kraszewskiego cech zbrodniczej praktyki. Wymagane od dziewczyny posłuszeństwo było, jak słusznie pokazał pisarz, brutalnym pogwałceniem wrodzonej nieśmiałości kobiecej i jej życia uczuciowego. Było również polem do wielu zwykłych nadużyć. Cynizm przyszłego oblubieńca w bardzo ostrych słowach i zupełnie bezpośrednio wyrażał to, co rzeczywiście kryło się pod tą formą małżeńską. Zupełnie nie dostrzegano w kobiecie człowieka o własnych myślach i marzeniach.

Taki właśnie układ stosunków rodzinnych, jaki czytelnik ujrzy na kartach książki, najwierniej oddaje współczesne życie. Kraszewskiemu udało się wydobyć to, co decyduje o wartości książki, filozofię życiową środowiska, filozofię na codzień i od święta. Współcześni uważali ją za odpowiednik „istoty narodowości”, a dzisiaj nazywamy ją realistycznym widzeniem świata. Dlatego właśnie nawet po latach ta mała książeczka może wzbudzić nasze zainteresowanie.

Powieść *Całe życie biedna* jest w twórczości Kraszewskiego pozycją wczesną. Niezbyt wyrobione pióro nie mogło jeszcze w sposób pełny i dojrzały artystycznie wypowiedzieć myśli pisarza. Dzisiejszy czytelnik odczuwa zwłaszcza pewien niedosyt artystyczny w rysunku głównej bohaterki powieści. Obraz cichej męczennicy popłakującej po kątach ze strachu przed mężem i wielkiej samotności na pewno nie wyczerpuje do końca problemu psychiki kobiecej na przestrzeni kilku lat życia.

Ale tu trzeba pamiętać nie tylko o wczesnym okresie, w którym powieść powstała, ale o zupełnym braku tradycji literackiej w tej mierze. Z małymi tylko wyjątkami (Elwira z kome-

dii Fredry *Mąż i żona*), kobieta w polskiej literaturze będzie jeszcze przez długi okres terenem literacko niezdobytym, prawie że nieznanym, czekającym na pisarza, który by tak jak Balzac we Francji odkrył nie tylko „świat“, ale i samym kobietom tajniki ich serca i życiowej strategii.

Jak już było wspomniane, historia Anny opiera się na fakcie autentycznym. Sięgnięcie do materiału bezpośrednio zaobserwowanego miało w efekcie tyle stron dobrych, ile złych. Każdy czytelnik zwróci uwagę, że główny problem powieści – konsekwencje wymuszonego małżeństwa, przemawia do nas „nieodpartą prawdą życia. Przymus z jednej strony i brak uczuć z drugiej, zupełne nieliczenie się z przeżyciami nieśmiałej i bardzo młodej dziewczyny, wchodzącej w nowe życie, i psychologiczne następstwa zawodu młodego człowieka, liczącego na lepszy posag, a żeniącego się właściwie tylko dla posagu, mogły rzeczywiście stać się zarodem stałych nieporozumień małżeńskich.

Nie dopisał natomiast warsztat pisarski w dalszych partiach powieści. Kraszewski nie umiał swobodnie nakreślić fabuły sensacyjnej. Znał wprawdzie przebieg wypadków, ale nie zawsze udawało mu się wyprowadzić ich linię powieściową z prawdziwych starć charakterów i interesów. Nie zawsze rozumiemy postępowanie Bałabsnowicza-plenipotenta a potem męża pani podkomorzyny. Nie rozumiemy go zwłaszcza w tych miejscach, gdy cwany wyga daje się złapać młokosowi na oszustwie.

Możemy mieć pewne zastrzeżenia również do postaci męża Anny. Jako typ „tyrana domowego“, jest bardziej znanym z literatury wcześniejszej „czarnym charakterem“, aniżeli prawdziwym człowiekiem. Kraszewski odsądził łowcę posagu od najmniejszych nawet drgnięć serca, od cienia przywiązania i czułości dla żony. Ale tu nie tylko sama niedojrzałość młodego pisarza może wchodzić w grę. Była to danina złożona pruderyjnej publiczności, przyszłym czytelnikom książki. Skandaliczna zupełnie dla ówczesnych czytelników i ówczesnej moralności decyzja ucieczki zamężnej kobiety od męża i to ucieczka z kochankiem musiała być na wyrost umotywowana patologicznym wprost charakterem jej męża.

Ale powyższe zarzuty stawiane z punktu widzenia późniejszych aniżeli powieść Kraszewskiego doświadczeń literackich naszej powieści nie zmniejszają w zasadzie walorów książki. Prawdziwa jest „filozofia środowiska“, prawdziwy jest świat pojęć bohaterów książki i to decyduje o pozycji powieści w naszej literaturze.

Jeszcze z jednego punktu widzenia ta książka ma duże znaczenie. *Całe życie biedna* odebrała w rozwoju naszego piśmiennictwa bardzo ważną rolę. Można bez przesady powiedzieć, że w rozwoju powieściopisarstwa krajowego *Całe życie biedna* sygnalizuje nową epokę. O tej powieści można powiedzieć to samo, co kiedyś zauważył Boy w recenzji fredrowskiej komedii *Mąż i żona*. Jest rzeczą zdumiewającą, że na głębokiej prowincji mogły powstać w tym czasie utwory o „małych niedolach pożycia małżeńskiego“, utwory pozbawione zupełnie obowiązujących przepisów o rozwiązaniu intrygi powieści i typie występujących bohaterów, powieści pozbawione obowiązujących konwencji literackich. W polskim powieściopisarstwie bowiem istniały właściwie dwa typy współczesnej powieści. Jeden typ pokazywał życie ludzkie na małym odcinku czasu, w zakresie samych tylko perypetii miłosnych i doprowadzał albo do szczęśliwego połączenia kochanków, albo jedno z nich składał w mogile. Ten typ powieści nazywanych w historii literatury powieścią sentymentalną reprezentuje np. *Malwina Wirtemberskiej*. Uczucia miłości pokazywane w nich były według z góry przyjętych przepisów. Przede wszystkim w zupełnym oderwaniu od rzeczywistości warunków życia, były subtelnym a nigdy nie istniejącym wykwittem duszy ludzkiej. Drugi typ powieści spełniał rolę cierplivej guwernantki. Moralizował, pokazywał idealne typy dobrych gospodarzy i „dobre żony“, uczył, jak należy uprawiać ziemię, chować bydło i dzieci. Zarówno jedna, jak i druga linia powieści wyrastała z samych tylko pomysłów ludzkich, z ludzkich życzeń, a nie z obserwacji życia – i dlatego pokolenia późniejsze wydały na nie wyrok zagłady i pisane im było zagaść wraz z epoką, która je wydała.

Nieśmiertelny i zawsze interesujący ludzi problem miłości znalazł żyzny grunt w poezji tego okresu, poezji romantycznej. Czytelnicy na pewno zetknęli się z miłosnymi lirykami Słowackiego czy Mickiewicza. Miłość była w nich traktowana jako osobna „sztuka życia“ i najwyższe osiągnięcie ducha, była kluczem do poznania wiekuistych tajemnic, obowiązkiem i bohaterstwem. W literaturze zachodnio-europejskiej taki obraz miłości przyniosła nam nie tylko poezja, ale i powieść romantyczna. W Polsce w zasadzie takiej powieści nie mamy. W pewnym tylko okresie bardzo jej wątle rysy dostrzegamy w powieściopisarstwie Kraszewskiego w okresie poprzedzającym *Całe życie biedna* – ale nie były to powieści dojrzałe i też zostały szybko zapomniane.

Mówimy o tym historycznym tle dlatego, aby uzasadnić uprzednio postawioną tezę, że ukazanie się powieści *Całe życie biedna* było rzeczywiście czymś nowym i niezwykłym.

Interesująca nas powieść wyrosła przede wszystkim z zupełnie innych źródeł aniżeli oba nurty pozostałe (i nieco wcześniejsze). Wyrosła z bezpośredniej obserwacji życia. Kraszewski ustrzegł się wielu niebezpieczeństw. Uwolnił się przede wszystkim od obowiązującego schematu powieści, u którego końca stał „ołtarz lub marmurowy grób“, i właśnie zaczął pisać powieści od tego miejsca, w którym kończyła się powieść wcześniejsza. Kraszewski pierwszy w polskim powieściopisarstwie dostrzegł poważne problemy psychologiczne w życiu ludzi i to po fakcie i dookoła faktu tak ważnego, jak związek małżeński, i problemy te przedstawił zgodnie ze stanem swoich obserwacji i przemyśleń. Nie tylko nie moralizował, ale przeciwnie postawił przed oczyma społeczeństwa zupełnie odkłamany obraz współczesnych stosunków. Nie tylko go opisał, ale go bardzo prawdziwie ocenił. Słuszny był również kierunek uderzenia pisarza. Walka o osobistą wolność kobiety, postulat wychowywania w kobiecie człowieka – były przejawem epoki nadchodzącej, burżuazyjnych pojęć społecznych. „Jeżeli odzwierciedlenie życia jest wierne, jest równocześnie i narodowe“. Powieść Kraszewskiego była wierna. W sumie więc młodzieńczy i mało znany utwór odpowiadał zadaniom, jakie przed pisarzem stawiała epoka. *Całe życie biedna* jako pierwsza „powieść narodowa“ zasługuje na przypomnienie szerokim kołom czytelnicy.

NOTA WYDAWNICZA

Wydanie niniejsze opiera się na autoryzowanym wydaniu zbiorowym dzieł z 1874 roku. Modernizację tekstu ogranicza się do wprowadzenia obowiązujących obecnie zasad ortografii i interpunkcji oraz do zamiany dawnej końcówki biernika rzeczowników miękkotematowych rodzaju żeńskiego – ą na końcówkę współczesną – ę; np. **opinią na opinię**. Poprawiono również jawne omyłki druku.

Zachowano natomiast wszystkie pozostałe formy gramatyczne staropolskie oraz prowincjonalizmy bardzo charakterystyczne dla języka Kraszewskiego (np. narzędnik l. mn. z końcówką y: **słow y** dziś **słowami**, z gotowymi **zapis y** dziś **zapisami** itd.).

*Parę wydań miała ta powieść, której za wstęp posłuży kilka słów z drugiej edycji 1856 r. –
Poświęcamy ją pamięci tego zacnego przyjaciela, którego imię wspomnieliśmy jako krytyka.
– Pokój ci, kochany Konstanty Podwysocki.
d. 6 stycznia 1874.*

Drezno

ŚLÓWKO AUTORA

Odczytując dziś tę powieść, możebyśmy gotowi zgodzić się na zdanie recenzenta (p. K. Podwysockiego), który sprawozdanie o niej zakończył pytaniem: czy warto się jej było rodzić? A jednak tę próbę, która na dwa wydania w krótkim przeciągu zasłużyła, umieszczamy w nowym zbiorze z pokorą, z uśmiechem: – jako miłą pamiątkę młodszych czasów.

Była to jedna z pierwszych powieści naszych, wydanych w zbiorze szkiców Zawadzkiego; grzechem jej może zbyt wiernie odtworzona rzeczywistość, charakterzy zarysowane jaskrawo, a jedna Anna aureolą swojego nieszczęścia nie może posepnego obrazu rozjaśnić. Zbudowaliśmy ją na jakimś opowiadaniu rzeczywistego wypadku, ale postacie są nasze aż do zbytku rażąco i przykro pospolite.

Kto świat widział z różnych stron jego, nie zaprzeczy, że ludzi w nim takich bywało dosyć, że i podkomorzyny, i Bałabanowicze się trafiali, i pan Mateusz *mutatis mutandis*⁴ chodził u nas po świecie, i taki sędzia, nie gorzki, nie słodki, często się nastreczał. Może jednak wybrane typy zbyt są wyraziste, i wadę tę uznając sami, prosimy o pobłażanie. Mauluczki ten wizerunek wiejski z dobitności kilku charakterów jakąś wartość mieć może.

Jakkolwiek niewiele upłynęło czasu od napisania tej powieści, potrzebujemy sami, że wielka zaszła zmiana w obyczajach naszych i zewnętrznym objawie życia. Dziś mniej mamy tych ekscentrycznie nacechowanych fizjonomij: wszystko się jakoś zatarło, wygładziło, stało przyzwoitszym i nie tak bijącym w oczy. Dla malarza i powieściopisarza trudność tym większa w pochwyleniu jednostajnego na pozór oblicza społeczności.

Zarzucają powszechnie nowej szkole, że zuchwale sięga do głębi duszy i tłumaczy człowieka, ale cóż ma począć, gdy ta cywilizacja niwelująca nic nie zostawia, za co by pochwycić, z czego by ją odmalować można. Wszyscyśmy do siebie podobni jak dwie krople wody, a zaprawdę – nieciekawi, trzeba się trochę wdrzeć w człowieka, żeby dobrać różnic i piętn ukrytych. Powieść nasza jest pozostałością czasów, w których nie tak się jeszcze poprzebie-rali ludzie za modne z dziennika paryskiego figurki.

Żyтомierz, dnia 18 września 1856 roku.

⁴ Mutatis mutandis (przysł, łac.) – zmieniwszy to, co powinno być zmienione

I

DOM PANI PODKOMORZYNY

Wśród rozległej równiny, którą gaje brzoź i sosen zamykały W oddaleniu, wznosił się stary wysoki dom drewniany otoczony obszernym sadem i zabudowaniami gospodarskimi. Do niego wiodła droga wysadzana starymi lipami, wśród których bieleła kaplica św. Jana Nepomucena u źródła. Dziedziniec był obszerny i przerżnięty kilkakroć ścieżkami wydeptanymi od kuchni do tak zwanego pałacu, do oficyn i stajen.

Stary dom, który tak pompatycznie⁵ pałacem nazywała czeladź i chłopci, była to budowa wysoka, z wyniosłym dachem nastrzępionym kominami, z oknami wielkimi, z gankiem wspartym na czterech drewnianych kolumnach. Z jednej strony czyściejsze szyby w oknach, bielejące zza nich firanki i gdzieniegdzie przeglądające wazon z kwiatami dowodziły, że to była strona pańska, pokoje bawialne; z drugiej mniejsze i w części potłuczone szyby pozasłaniane bielizną rozwieszoną i pozaklejane papierem tłumaczyły, że tu były izby kobiet służących i czeladzi dworskiej.

Przed domem siadła gręda kwiatów pozółkłych otoczona splecionym z gałęzi brzożowych koszem. Stara jedynaczka topola wznosiła się jeszcze pod oknami, z jednej strony już uschła i niedaleka losu swoich sióstr, których tylko pnie suche w tej samej linii pod oknami sterczały. Na ganku stary mops posiwiwały na usługach domu siedział poważnie i patrzył w lipową aleję. Koło stajen przy wyciągniętej starej karecie pracowało kilku ludzi.

Pod oficyną prano bieliznę, a pod kuchnią rozmawiało kilku ludzi dworskich.

Cicho było i poważnie wokoło tego domu, którego staroświecka fizjonomia i stare otaczające go drzewa dowodziły w mieszkańcach spokojnego gustu i przywiązania do tej siedziby. Wszystko co się działo dokoła, miało pozór rzeczy zwyczajnych, koniecznych, odbywających się nałogowie⁶. Każdy z ludzi był na swoim miejscu, przy swoim zatrudnieniu: mops nawet używał świeżego powietrza z przekonania o potrzebie i z nałogu, nie z żadnej przypadkowej fantazji; była to jego gankowa godzina.

Wszedłszy wewnątrz domu dawała się czuć ta sama spokojność, ten sam odwieczny porządek: każdy przedmiot godził się z drugim, jakby z niego wyniknął i z nim razem był stworzony; nie było nic nowego i nic uderzającego, nic dodanego. W sieniach świecące od wycierania ławy i skrzynie, stary zegar z kukawką gdakający bez ustanku, na ścianach zapyłone wieńce kilkuletnich dożynek. U drzwi wiodących do sali na lewo leżała słomianka do otarcia nóg. W oknie śpiewały w klatce kanarki.

W sali znowu ten sam porządek odwieczny. Przez całą jej długość leżało płótno zabezpieczające starą, niegdyś woskowaną, posadzkę od szwanku. Na niebiesko malowanej ścianie wisiało zwierciadło w ramach drewnianych z brązami i dwa portrety; mężczyzny w peruce i

⁵ pompatycznie (z łac.) – wystawnie; tu: górnolotnie, przesadnie

⁶ nałogowie – nałogowo

kobiety z różą w rękę, z muszkami⁷, w rogówce⁸. Pod nimi stała kanapa obciągnięta nawleczką i widocznie w niektórych miejscach wysiedziana; przed nią uporządkowane dokoła stolika krzesła w pokrowcach także, które tylko od święta zdejmowano.

Na kominie był osadzisty zegar niegdyś brązowany, a dziś do niepoznania szerniały, ozdobny w kwiaty, zwierzęta, wiszące medaliony itp. Obok niego porcelanowe figurki pasterek i pasterzy arkadyjskich stały i siedziały otoczone skamieniałościami: gruszkami, kamieniami, ślimakami i konchy⁹ zamorskimi. Ekran stary i wypłowiały zasłaniał komin, którego strzegły w zupełnym komplecie wyprostowane stojąc: mieszek, łopatka, szczypce i kruczek¹⁰. Przy ścianach stały w największym porządku krzeselka, gdzieś stolik od roboty okryty sukrem. Okna otaczały firanki haftowane dość zżółkłe, ale starannie zawieszane. Boczne ściany okrywały sztychy za szkłem i emblematyczne cyfry z wieńcami: pamiątki imienin, ślubów i dni wesółych. Nikt zwykle w sali nie siedział, był to pokój dla gości i dopiero za nim w gabinecie niemniej porządnym mogłeś znaleźć panią domu, zacną wdowę, jaśnie wielmożną Dorotę z Dylągowskich Sumińską.

Niemłoda to już była osoba i do młodości już nawet wszelkie straciła pretensje, nie mając je czym usprawiedliwić. Na wygodnym krześle rozparta, umieściwszy nogi na stołeczku, w okularach, zacna matrona spoglądając na dwoje piesków u nóg jej na poduszkach spoczywających ciągnęła kabałę z miną tak poważną, tak zajęta, jak gdyby pisała najważniejsze dzieło albo liczyła odległość ziemi od słońca. Przy niej leżał sznureczek od związywania kart i futerał od okularów; dalej nieco stał dzwonek staruszek i szklanka wody z cukrem przykryta spodkiem od filiżanki.

W oknie siedziała druga osoba, jejmość panna Anna, siostrzenica pani Doroty zajęta pończoszką, a niekiedy spoglądająca ukradkiem w długą lipową aleję. Nic nie przerywało milczenia prócz jednostajnego faworytów piesków chrapania, które jak chód regularny zegaru odzywało się.

Pani Dorota była już wcale niemłoda, ale przez regularne życie potrafiła się zachować w pozorach średniego wieku. Sucha, wyprostowana, poważna, z oczyma szarymi, z włosiem siwym, ale pokrytym czapczką i lokami, całe tak swoje życie ze wszelką przyzwoitością i w największym przepędziła porządku. Z nieboszczykiem mężem w zgodzie i błogosławieństwie Bożym przeżywszy lat dwadzieścia kilka, bezdzietna, już lat kilkanaście nosiła czepiec wdowi i, jak prawej przystało niewieście, pobożna, miłosierna, oszczędna, gderliwa, kończyła życie kabałą i pieskami. U pani Doroty najznamienitszą figurą w domu był ten zegar w sieniach, który rozporządzał dniem i wyrokował, kiedy trzeba było spać, jeść, chodzić, wstawać itp. Wszystko działało się według jego rozkazów, słudzy bali go się może więcej niż samej pani; sama jejmość słuchała go z pokorą, dając pierwsza dobry przykład nieograniczonego posłuszeństwa. Gdyby kiedy staremu zegarowi przyszła była ochota stanąć, cały dom byłby stanął i nie wiedział co począć; szczęściem panujący ten starzec, mimo podeszłego wieku, nie groził jeszcze bezkrólewem, a co rok zegarmistrz z bliskiego miasteczka zaglądał wewnątrz badając pilnie stan jego zdrowia, który zwykle przecyzyszczeniem się kontentował.

Panna Anna siostrzenica pani domu było to młodziuchne i miłe stworzenie. Miała ledwie lat szesnaście, gdy ją przysposobiła ciotka i osadziła przy sobie. Blondynka, niebieskooka, średniego wzrostu, wysmukła i zręczna, chociaż nie była cudem piękności tak jednak harmonijnie wszystko w niej się z sobą godziło i odpowiadało sobie, iż na pierwszy rzut oka każdego musiała ściągnąć uwagę. Na jej twarzy panował wyraz nieprzebranej słodyczy, śmiały się

⁷ muszla (z franc.) – tu: okrągły plasterk przyklejony na twarzy według mody staroświeckiej

⁸ rogówka – trójkątna chustka na głowę

⁹ koncha – muszla

¹⁰ kruczek (starop.) – haczyk, pogrzebacz

usta, uśmiechały oczy, jednak nie tym szyderskim uśmiechem zalotnictwa lub szyderstwa, które widujęm w oczach kobiet zepsutych lub do zepsucia skłonnych, lecz łagodnością chrześcijańską. Zdawało się patrząc na nią, że się nigdy gniewać nie mogła, nigdy zniecierpliwic; wyglądała jak anioł przebaczenia i cierpliwości.

Toteż pani Dorota bardzo kochała siostrzenicę i głośno się z tym odzywała, że jej wszystko zapisze, co miała z siebie i z zapisów nieboszczyka męża. Niemało to młodzież okoliczną nęciło ale na nieszczęście panna Anna nie śmiała za nikim się odezwać a ciotka nikogo jeszcze godnym jej nie osądziła. Czy spieszno było młodej dziewczynie wyjść za męża? tego nie wiem. To pewna, że czasem spoglądała niespokojnie w okno, zamyślała się nad robotą, szukała rozrywki pielęgnując kwiatki, nie sypiała w nocy i modliła się gorąco; jednakże gdy zalotnicy przyjeżdżali, przyjmowała ich tak zimno, poważnie, obojętnie, że każdy z nich odjeżdżał zrażony.

Ciotka też ze wszelką przyzwoitością i wedle wszystkich reguł przyjmowała ich i żadnego jeszcze nie dopuściła do oświadczenia się. Większa część młodych sąsiadów już nawet znużony się porzuciła była pannę Annę uważając ją za niezdobytą fortecę.

Tak się miały rzeczy w chwili, kiedy się ta historia zaczyna. Wybiła czwarta na zegarze w sieniach, skrzyły drzwi od sali, dał się słyszeć chód powolny – i łysy, siwy, wysoki, chudy Jan. stary sługa domu w szaraczkowej kurtce, palonych butach, z chustką od nosa i tabakierką wyglądającą z kieszeni wszedł, jak zwykł był wchodzić od lat dwudziestu: z tacą, na której była kawa i sucharki. Postawiwszy ją na stoliku przed panią cofnął się ku drzwiom i stanął pod progiem zażywając tabakę.

W tej chwili pani Dorota zawiązała sznurkiem karty, zdjęła z nosa i schowała w futerał okulary, przysunęła tacę i zaczęła nalewać kawę. Pieski przywykłe zbudziły się słysząc dźwięk garnuszka i filiżanki, a Jan założywszy w tył ręce, stał w milczeniu.

– Chłodno na dworze, Janie? – zapytała pani, bo zwykła go była pytać zawsze o toż samo od lat dwudziestu.

– Chłodno, pani, ale pogodnie.

– A co się tam dzieje z kanarkami?

– Zdrowe, pani, tylko się trochę samce poczubily.

– Aniela nigdy dobrze nie dopilnuje śmietanki, oto węgla pływają po niej.

Jan zamilkł, bo nie śmiał ani wymawiać ukochanej Anieli, ani sprzeciwiać się pani.

– Panno Anno, rozlej pieskom śmietankę.

Posłuszna porzuciła robotę i poszła pieskom służyć, w czym Jan pospieszył jej dopomóc. W nagrodę dostała panna Anna sucharek, który, pocałowawszy ciotkę w rękę, położyła na oknie. Następnie Jan zabrał tacę i mierzonym krokiem wyszedł zamykając pilnie drzwi za sobą. Tu zaszła zmiana dekoracji. Pani Dorota kazawszy sobie podać książkę do nabożeństwa wzięła się do pacierzy, a panna Anna wyszła do sali bawić pieski ciocine.

Jeszcze zegar nie uderzył był wpół do piątej, gdy w ulicy lipowej ukazał się powóz prosto dążący do dworu. Postrzegła go panna Anna i pobiegła uwiadomić ciotkę. Natychmiast pani Dorota wyszła do sali i usiadła za stolikiem, a siostrzenicę wyprawiała, aby przygotowano herbatę.

Tymczasem coraz się zbliżał powóz stuknął o próg we wrotach i z turkotem zajechał przed ganek. Pani Dorota podniosła się nieco dla zobaczenia, kto przyjechał, ale rozpoznać nie mogła.

W sieniach dały się słyszeć głosy, chrząkania, szeptania, wreszcie zakręcono klamką i otyły, rumiany pan sędzia Buczkowski wszedł ze wszelką przyzwoitością i uszanowaniem cisnąć się do ucałowania ręki gospodyni, która na widok jego powstała i niby się uśmiechnęła.

Za nim wszedł młody człowiek i (to niemało zmieszało panią Dorotę) bardzo świeżo i przyzwoicie ubrany, mogący mieć lat około trzydziestu, rumiany, wesołej twarzy, oczu błysz-

czących, ledwie poczynający odrobinę łysieć, zbudowany jak Bóg przykazał, przy tym ciemnoblondyn. Ubranie jego okazywało człowieka dobrego towarzystwa i wcale nie wieśniaka; toż potwierdzał lekki trochę szyderski uśmiech ust i jakaś mina, po której łatwo poznać nadpsutego swobodą kawalerskiego życia człowieka.

Pan sędzia, otyły i dawniej zalotny a miły człowiek (taka była o nim przynajmniej tradycja w sąsiedztwie), z rewerencją¹¹ przystąpiwszy do ręki pani Doroty przedstawił jej młodego człowieka jako swojego krewnego, pana Mateusza Wideckiego, niedawno osiadłego w tych stronach, który spieszył ze złożeniem swego uszanowania pani podkomorzynie dobrodziejce.

Naszastawszy mocno, nogami na znak uszanowania przybyli usiedli na wskazanych krzesłkach i uroczyste rozpoczęło się milczenie.

Pani Dorota szukała w głowie od czego zwykła była rozmowę z przybywającymi zaczynać, pan sędzia patrzył po ścianach i uderzał palcami po kolanie, pan Mateusz oglądał się z miną człowieka, który bada ducha domu. Gdy wszyscy milczą jeszcze, przez drzwi od bocznego pokoju weszła z rumieńcem na twarzy panna Anna. Goście powstali, ukłony, przywitanie i znowu milczenie. Pan Mateusz tylko poglądał już nie po ścianach, ale najpilniej, jak być może, wlepił oczy w pannę Annę.

Gdy się to dzieje, pani Dorota odchrząknęła i zaczęła rozmowę

– Pan sędzia już zapewne ukończył siejbę?

– O! nie jeszcze – odpowiedział zapytany – jeszcze mam kilkadziesiąt korcy żyta do posiania.

– A jakże tegoroczne wydaje?

– Ledwie po korcu kopa; bardzo źle, będzie drożyzna. Żydzi już się zaczynają dowiadywać o żyto. Pani dobrodziejka ma podobno kilkoletnie?

– Tak jest, z trzech lat.

Tu uznał potrzebnym wtrącić się w rozmowę pan Mateusz.

– Jest to bardzo dobra rachuba – rzekł – nie przedawać w tanie czasy.

– Oczywiście! – dodali pani podkomorzyna i pan sędzia. Po czym znowu nastąpiło milczenie.

Jan przybrany w surdut nowiuteńki, w którym wyglądał jak w worku, wniósł talerz jabłek; następnie podano herbatę. Rozmowa zwolna i ze wszelką przyzwoitością toczyła się, jak to pospolicie na wsi bywa, o cenach zboża itp.

Pani Dorota, zawsze w każdym młodym człowieku domyślająca się konkurenta do panny Anny, spód oka mierzyła pana Mateusza i w duchu osądziła go bardzo przyzwoitym człowiekiem.

Lecz dziwne wrażenie zrobił on na Annie. Ona, co przywykła była z jednaką obojętnością spoglądać na wszystkich, kiedy weszła do pokoju i spojrzała na niego, uczuła jakiś dreszcz przechodzący po ciele i drzeć poczęła sama nie wiedząc czego. Serce jej bilo gwałtownie, nie śmiała spojrzeć, obrócić się, ruszyć, bała się ust otworzyć. Kto inny byłby to wziął za przecucie, lecz ona nawet się nad tym nie zastanowiła, co to było; tak bowiem przejęta była posłuszeństwem, że nie czuła w sobie woli, nie przypuszczała przecucia.

W prostocie ducha zdawało jej się, że ciotka powinna była czuć i myśleć za nią, że to do niej wcale nie należało. Znając przy tym panią Dorotę wiedziała, że jej nie wolno mieć swojej woli i myśli; bo jak zegar kierował całym domem, tak wola pani rządziła wszystkim, co ją otaczało, aż do najdrobniejszych czynności. Przytłumiła więc bicie swego serca, niespokojność i, usiłując zapomnieć o gościu, który ją takim strachem nabawił, wzięła się do robienia herbaty. Wtem, gdy ją zalewa starannie, słyszy, że ktoś wstaje, idzie, zbliża się i w końcu ujrzała młodego gościa przy sobie. Zupełnie już wtedy nie wiedziała co począć, w uszach jej zaszumiało, w głowie się przewracało, w oczach ćmiło, a ciotka z niesłychanym także zdu-

¹¹ rewerencja (z łac.) – szacunek

mieniem i nieukontentowaniem spojrzała na kawalera, który tak nieprzyzwoicie, przy pierwszej bytności, ośmielał się zbliżyć do panny Anny.

Nic tego nie zważał pan Mateusz i śmiało ofiarował swoją pomoc Annie do robienia herbaty. Zaledwie biedna zebrała się na niewyraźną odpowiedź:

– Bardzo dziękuję, ja tak jestem przywykła... Uparty gość nic na to nie zważając koniecznie obstawał przy zaczęciu rozmowy z Anną.

– Pani zapewne lubi kwiaty?

– Tak, tak jest – niewyraźnie odpowiedziała.

– Musi to być piękny ogród.

– Tak, piękny ogród.

Znowu się urwało. Biedna Anna rzucała okiem na ciotkę, której szare oko wytrzeszczone i usta zaciśnięte grozić jej się zdawały i bronić nieprzyzwoitej z kawalerem rozmowy. Nareszcie po kilku próbach przekonawszy się pan Mateusz, że z tego nic nie będzie, usiadł i zamilkł.

Podano herbatę; pan sędzia głośno gadał, panna Anna siedła z daleka pomieszana, pan Mateusz już po ścianach tylko patrzył, ciotka okazywała najtrafniejszy humor. Gdy Jan wyniósł tacę, goście zaczęli spoglądać na zegarki, powoli włożyli rękawiczki, pożegnali się i odjechali.

Zaledwie zahuczało, pani Dorota ruszając ramionami powstała z kanapy, rozkazała stoły pościierać, pozwoływała rozpierzchnione pieski i odezwała się:

– Ależ to jakiś jegomość impertynent¹²! Tak zaraz obcesowo sobie do panienki się przysiadła. Bardzoś Wpanna dobrze uczyniła, żeś mu nie odpowiadała.

– Ja, ciociu, odpowiadałam – rzekła Anna.

– A to bardzo źle, nieprzyzwoicie; trzeba było udawać, że się nie słyszy. Któż to widział kiedy, z pierwszą wizytą i zaraz do panny w konwersacje! Proszę, żebyś mi wpanna drugi raz to pamiętała: udawać, że się nie słyszy. To wcale nie uchodzi, żeby młoda panienka gadała z kawalerami. Powiedz, aspanna, niech Jan tu pościiera; podaj mi mój różaniec. Idź precz Amor! Idź precz! Jaki impertynent! A, bo i ten sędzia; po co go tu było przywozić? Na poduszkę Żolka, na poduszkę! W Imię Ojca i Syna i – idź aspanna do ogrodu, a okryj się ciepło; niechaj Aniela przyjdzie z pończochą do przedpokoju! W Imię Ojca i – a nie pójdziesz precz z krzesła! Weź aspanna chustkę od nosa i trzewiki ciepłe! A która tam godzina? po szóstej, późno! Dajże aspanna pokój, już nie chodź do ogrodu, bo rosa pada.

II

ANNA

Taką jednak, jakośmy ją odmalowali powierzchownie, nic przez się nie znaczącą istotą nie była panna Anna. Pokryte tą suknią pokory, łagodności, posłuszeństwa, biło w niej pełne uczucia serce, a w głowie roily się myśli, których by zacna ciotka nigdy była nie zrozumiała, gdyby nieostrożna siostrzenica wydać się chciała z nimi. Była to kobieta pełna uczucia, rozumu, przygotowana i uzbrojona do życia, lecz reguły przyzwoitości i zupełne zdziecinnienie ciotki nie dozwalały jej się z tym okazywać.

Toteż Anna zdawała się na pozór nic nie znaczącą istotą, choć była wcale niepospolitą kobietą. Wszystko w niej tłumila ta niewola, w której karby brała otaczających ją pani Dorota

¹² impertynent (z franc.) – zuchwalec, grubianin

Zostawiona sama sobie Anna czasem płakała, ale przekonanie o obowiązkach, konieczności takiego położenia prędko ją umiały natchnąć rezygnacją, z którą nie tylko znosiła złe humory i ciągły despotyzm ciotki, lecz brak zupełny życia, rozmowy i uczuć niezbędnych w młodym wieku. Usiłowała przywyknąć do tego spokojnego i regularnego życia, w które była wprzężona, starała się wytłumaczyć sobie, że tak jak było, było dobrze. Lecz na próżno. Trudno to młodej panience oswoić się z takim życiem zimnym zegaru, jakie prowadzono w Złotej Woli u pani Doroty. Męczyła się biedna Anna i, ofiarując Bogu swoje męczarnie, usiłowała przed ciotką nigdy się nie wydać z tym, że jej było źle i że miała w duszy większy zapas czucia i myśli, którego nie podobna było zużyć przy kanarkach i pieskach.

Tymczasem pocieszała się wspomnieniem swojej młodości. Inna bowiem całkiem była pierwsza jej młodość, inne wówczas życie i przygotowanie do innego. Rodzice Anny byli bardzo bogaci. Niestety, jak to u nas często bywa, los ich osadził przy bogatszych jeszcze w stronie, w której zbytek był w powietrzu, koniecznością, potrzebą. Na zbytki więc stracili wszystko, co mieli. Po świetnych balach, zabawach z pałacu i karet zejść trzeba było w ubogie życie nędznego dworku i karmić się zgrzyzotami.

Anna odebrała była wychowanie niepospolicie staranne. Matka, która ją kochała, jak zwykle jedynaków kochają rodzice, poświęciła się całkiem najświetniejszej edukacji ulubionego dziecięcia. Trzeba wyznać, że koszta, jakie stąd wyniknęły przy dość nieporządnym utrzymaniu interesów, przyczyniły się niemało do zniszczenia na majątku rodziców Anny. W ostatnich czasach, gdy z przestachem poglądali, na przyszłość coraz groźniejszą, gdy dłużnicy po jednej zabierali wioski, cieszyły ich tylko postępy córki, jej wdzięki i charakter słodki.

Nauczyciele ubóstwiali tę uczennicę skromną przy największych postępach w nauce, a zawsze jak dziecię łagodną. Kiedy wreszcie rodzice Anny ujrzeli się nagle w ubóstwie, nie tyle im żal było majątku dla siebie, ile dla córki: to bowiem, co przeznaczyli na jej uszczęśliwienie, wychowanie, stawało się przy ubóstwie jedną więcej męczarnią. Może się to komu wydać śmiesznym, lecz któż nie przyzna, że wychowanie staranne daje gusta wytworne, czyni potrzebą towarzystwo dobre, książki itp., a z jakimiż trudnościami walczyć musi ubogi, żeby te przyjemności życia, do których nawykł, bez upokorzenia pozyskać?

Anna nagle przeniesiona z pięknego pałacu do mizernego dworku, który z całego majątku rodzicom jej pozostał, nie miała nauczycieli, fortepianu, książek, arfy, kwiatów swoich, ogródka, pięknych obrazów i pięknych sukienek. Z początku było jej bardzo ciężko znieść taką odmianę. Lecz gdy ujrzała posępne twarze ojca i matki, gdy uczuła potrzebę pocieszenia ich, udała, że jej dobrze, lepiej nawet jak wprzód, włożyła uśmiech na usta i biedni rodzice uwierzyli dziecięciu, które z nieporównanym poświęceniem uśmiechało się do nich płacząc w sercu. Anna miała już tyle siły i tyle miłości, że potrafiła udawać i do śmierci rodziców nie pokazała smutku, który serce jej ścisnął.

Naówczas poznała ona świat lepiej i, myśląc o nim w cichości, powiedziała sobie, że cierpienie jest przeznaczeniem człowieka na ziemi, że szczęście jest niepodobnym, a jeśli kiedy zaświeci, to chyba dlatego, żeby po nim czarniej się jeszcze świat wydał. Opuszczeni, sami jedni rodzice Anny nie narzekali na przyjaciół, nie cisnęli się do panów, którzy póty tylko żyli z nimi, póki byli bogaci; cierpieli także i milczeli. Nie przyszło im nawet na myśl, że Anna miała ciotkę bogatą, która by się jej losem zająć była powinna; całkiem inaczej obmyślali dla niej przyszłość i innych wyznaczyli jej opiekunów na wypadek swojej śmierci.

Lecz ciotka nudziła się sama jedna. Zasłyszała coś o nieszczęściu siostry, dowiedziała się o jej córce i zażądała ją mieć przy sobie obiecując wszystko, co miała, jej zostawić. Wielka to była radość w ubogim domku, gdy ze wszelką przyzwoitością napisany list pani Doroty doszedł rąk rodziców Anny; odżyli w dziecięciu i płacząc dziękowali Bogu. Tylko młoda dziewczyna nie dzieliła ich radości. Przywykła już cna była do nowego życia i nie chciała go odmieniać; nade wszystko nie chciała porzucać rodziców. Ukołysano ją jednak z łatwością, ona była tak łagodna! Matka odwiozła ją do Złotej Woli.

Nie potrafię opisać uczuć Anny na widok ciotki zimnej, regularnej, traktującej ją ze wszelką przyzwoitością (tak różnej od matki), tak surowej i niewyrozumiałej, na widok tego domu, w którym zegar panował, gdzie nie wolno się było rozśmiać głośno, pobiegać, zagadać, poswawolić i gdzie wszyscy chodzili wysznurowani jak lalki, zdając się albo nie mieć czucia i duszy, albo najpracowiciej je w sobie ukrywać. Przeszło po niej zimno, ścisnęło się serce, płakała, gdy wyjeżdżała matka, ale milczeć musiała i przyjąć to szczęście dlatego, że ono się szczęściem rodzicom jej wydawało. Tu do ostatka stracić musiała Anna, a przynajmniej skryć przed ciotką wszystkie swoje dobrze wychowanej dziewczyny zatrudnienia i upodobania.

Fortepian zdawał się ciotce nieskończenie dziwnym przy pozytywku dla kanarków; innej książki nad nabożną nie pozwoliłaby czytać uważając to za największą z nieprzyzwoitości dla panny; śpiewu nie tolerowała wcale, skoku i wesołości zabraniała surowo, wynurzeń i łez także strzegła najpilniej. Kładła na nos okulary, aby zobaczyć, co panna Anna rysuje i darła niemiłosiernie jej próbki mając tę sztukę za coś szatańskiego i nieprzyzwoitego dla kobiety. Potem zasadziwszy Annę do pończochy zacna pani Dorota chodziła po pokoju mrużąc:

– Oni ją, Boże odpuść, edukowali na aktorkę czy co? Po co jej ten klawikord! po co jej te malowidła! Do czego to te książki, co oni jej nauczili? Albo ta francuzczyzna, Boże odpuść! to tylko wszystkiego złego początek! Otóż i pan Bóg nie pobłogosławił i przez tę bezbożność swoją majątek stracili! A taki piękny majątek! Ta to klucz był jako rzadko: pięć wsi ogromnych! Jak to im było stracić? Ale kiedy to i jegomość podobno był farmazon¹³, jejmość lubiała kornety¹⁴ i dziecko psuli, i poginęli. Żolka, a po co na kanapie, a nie pójdziesz! Trzeba zacząć koronkę – aspanna pobiegaj z pieskami po sali i zabaw się!

Zmuszona biegać z pieskami za całą zabawę Anna o jakże wędła, jak schła, jak nieraz po kątach płakała. Lecz kiedy jej to okropne życie bez myśli i czucia dogryzło, uciekła się do modlitwy, bo była nabożna, jak wszyscy nieszczęśliwi i powiadała sobie po cichu:

– Bóg cierpieć przykazał; Bóg nagrodzi cierpienie! A potem znowu płakała. I tak biegły jej smutnie młode lata w Złotej Woli przy ciotce.

Gdy się cokolwiek osiedziła Anna, a sąsiedzi o jej przybyciu dowiedzieli i o zamiarach pani Doroty, mnóstwo poczyniono projektów swatowstwa, gdyż zapis całego majątku czynił ją może najlepszą partią w sąsiedztwie. Przez niejaki czas nie było dnia bez odwiedzin, zjeżdżano się jak do cudownego obrazu, żeby widzieć przybyłą, a młodzi na wyścigi starali się jej podobać! Ileż to pięknych marzeń uczyniono budując je na posagu panny Anny, ile to domów krzywo na siebie patrzeć zaczęło już w sobie współzawodników upatrując, ile to się rozeszło plotek, ile było kłótni! Ale wszystkie te projekta rozbiły się z kolei o zimną powierzchowność Anny, a zimniejszą jeszcze krygowność¹⁵ i regularność¹⁶ ciotki, która tyle doskonałości żądała od narzeczonego siostrzenicy, ile ich mogła skomponować na rachunek męża po jego śmierci.

Liczba tych przymiotów była tym większa, im dalej panią Dorotę lata odsuwały od nieboszczyka podkomorzego, którego po śmierci w sercu swoim ukanonizowała¹⁷. Co dzień niemal dodawała mu jakąś cnotę, której nie miał i kładła ją za warunek przyszłemu mężowi Anny. Po swojemu myśląc o jej szczęściu głęboko się nad nim zastanawiała między piątą a szóstą wieczorną codziennie, jeśli gości nie było i chciała koniecznie młodego pana podkomorzego jakiegoś dla Anny, który by kubek w kubek podobny był do obrazu nieboszczyka, jaki w sercu swoim nosiła, mając go za najprawdziwszy. Tym sposobem zameście Anny stało się prawie niepodobieństwem.

¹³ farmazon (z franc.) – tu: człowiek wolnomyślny, niedowiarek

¹⁴ kornet – tu: czepek, kornet strój kosztowny

¹⁵ krygowność – tu: ceremonialność

¹⁶ regularność – tu: systematyczność

¹⁷ ukanonizować – podnieść do godności świętego

Napływali w dom coraz nowi konkurenci, lecz każdy z nich ledwie był za bramą, już mu pani Dorota wyrok napisała.

– A fi! Boże odpuść! – mówiła. Gdybym też miała wydać Anusię za tego ogromnego draba podobniejszego do hajduka niż do obywatela przyzwoitego! Najmniejszego podobieństwa z panem podkomorzym! A jaki śmiałkowaty, już się do rączki cisnął całować za pierwszą wizytą. Abo do czego to takie włosy kręcone? Nie taki był podkomorzy! Jej koniecznie trzeba takiego małżonka jak podkomorzy. To to był złoty mąż! Ach, biednaż ja wdowa! Boże odpuść! Żolka, precz z kanapy!

Wyjeżdżał drugi, to znowu inne następowały zarzuty.

– A toż jeszcze tego, Boże odpuść, brakowało! Jakiś młokos; co nie ma wąsów jeszcze, słabowite to, chuderlawe jakieś! Pewnie w suchotach! I cóż on ma? mizernych kilkanaście chałup! Albo i to! albo i to! Żebym ja za niego moją Anusię wydała! Żolka, pójdźże ty precz, a nie zaglądam tam!!

Pocziwa ciotka każdego tak błogosławiła na drogę i każdy, raz drugi pokazawszy się, zrążony bywać przestawał. Annie było to prawie jedno, nie spodziewała się ona szczęścia i nie wzdychała za niczym, bo miała przeczucie, że los jej się nie poprawi odmianą.

Wśród tych starań o Annę, odebrała ona smutną wiadomość o śmierci rodziców, po których ciotka prawie jej nawet płakać zabroniła. Została więc sama jedna w świecie skazana, aby jej nikt nigdy nie pocieszył. W milczeniu zalewała się gorzkimi łzami i kryć się z nimi musiała, bo niemiłosierna pani Dorota gderała nieustannie.

– A dośćże tego, mościa panno, kiedy powiadam pannie aspannie, żebyś mi zaraz tych łzów przestała. Bardzo dobrze płakać po rodzicach, ale w miarę, aspanna masz we mnie większą dobrodziejkę, oni aspannie nic nie zostawili i, gdyby nie ja, to byś teraz kawałka chleba nie miała. Idź, aspanna, pobiegaj z pieskami!

Ilekróć ją zobaczyła we łzach, tyle razy niemiłosiernie gderała pani Dorota lub pocieszała ją w taki sposób, który tylko większy jeszcze żal mógł wzbudzić. Takie było życie Anny, a zważywszy jej przeszłość, musiało się wydawać przywykłej do macierzyńskiej czułości, do swobody, okropną męczarnią. Lecz kiedy Bóg daje komu przeznaczenie cierpienia, daje mu także siły, i w tej słabowitej, delikatnej dziewczynce był zapas wytrzymałości i cierpliwości nieprzebrany. Trudno jednak było przywyknąć tak do życia przy pani Dorocie, aby ono smakować mogło.

Żadna niewola nie trapi gorzej nad niewolę duszy, przykucie do osoby zupełnie odrębnego charakteru musi być nawet w piekle największą karą. Wystawcie sobie, że waszej duszy, waszemu sercu, odebrano wszelką władzę, a zostawiono uczucie; że nie wolno wam płakać, ani radować się bez pozwolenia, ani stąpić kroku, ani pomyśleć chwilę swobodnie. Któż by nie wolał wszystko, co być może najcięższego, nad te piekielne męczarnie, nad ten wieczny los cienia chodzącego za ciałem mimo woli? A jednak Anna znosiła to bohatersko, tłumiała nawet w sobie żal przeszłości i, mimo męki, jakiej doznawała od ciotki, kochała ją! W tym anielskim sercu było tłumaczenie jej postępowania, wymawiała ją sama przed sobą nałogiem, charakterem, przywykaniem, czyniła ją nieodpowiedzialną za to, co od niej doznawała.

Anna w ciągu życia wiele słyszała, czytała, domyślała się o miłości. Póki jeszcze miała przyjaciółki (tę niezbędną potrzebę młodych dziewcząt), nieraz odbierała od nich zwierzenia poufale chwilowych tych dziecinnych, a tak słodkich miłości, które się kończą pospolicie na zamianie kwiatka i tysiącach westchnień. Są to prześliczne przywiązania, niewinne i różowe, które tyle rodzą marzeń, tyle nadziei, tyle najprawdziwszych z a m k ó w n a l o d z i e!

Lecz sama nigdy nie kochała. Czowała ona, że kochać by mogła, odzywała się w niej potrzeba miłości, ale nie było kochanka. I to więc biedna Anna policzyła na karb swego przeznaczenia myśląc, że dla niej nigdy się nawet nie znajdzie kochanek. Kiedy jej przyjaciółki opisywały swoich, rumieniła się, a na zapytania: – Kogóż ty kochasz? – po cichu odpowiadała: – Ja, nikogo.

- Ale to być nie może?
- Tak jest, moja droga.

I pełne egoizmu młodzieńczego przyjaciółki tym piękniej malowały jej miłości swoje, napełniały jej głowę nimi, jakby chciały jej przydać cierpienia czy ciekawości. I jak to bywa między przyjaciółkami, opowiadały owe cudowne wejrzenia na tańczącym wieczorze, owe ściśnienia ręki, owe przechadzki pod oknami i podarunki kwiatów i bury od mamy itd. Anna słuchała, ale nie zazdrościła; jednakże ogarniała ją czasem niespokojność, nieopisana żądza poznania tego uczucia, które jej rówiennice tak żywo zajmowało. Na próżno – nikt się nie zjawiał.

U ciotki nigdy już nie posłyszała o miłości innej prócz Boga, bliźniego i pana podkomorzego; powoli więc zapomniała, że kochać można, a surowa pani Dorota tak się nawet czasem o pannach zakochanych odzywała, jakby one wszystkie warte były najmniej szubienicy (jeśli nie stosu). Ciotka nie przypuszczała miłości w kobiecie, pozwalała kochać pieska i to przyzwoicie, skromnie, a nade wszystko za pozwoleniem starszych. Męża zaś malowała zawsze wychowanicy jako rzecz, którą dają starsi nie pytając zezwolenia panny równie, jak jej sprawiają suknię i trzewiki.

Do wszystkich więc cierpień Anna łączyć jeszcze musiała myśl, że kiedyś da jej ciocia męża podobnego nieboszczykowi podkomorzemu, którego portret niewiele obiecujący wisiał w pokoju. Z prawdziwą pociechą słuchała, jak ciocia ganiła wszystkich konkurentów i zabierała się ich odprawić z kwitkiem lękając się, aby któremu z nich nie była oddaną. Pojmowała ona, że znośniejsze jeszcze było życie pod panowaniem zegara i cioci niż przy mężu obojętnym, zimnym i podobnym do nieboszczyka podkomorzego.

Całą pociechą Anny był jej ogródek, na który nie wiem jakim szczęśliwym trafem pozwoliła ciotka, przypominając sobie, że w panińskim zostając stanie, miała także grządki, które pielęgnowała. Wydzielono więc Annie w końcu staroświeckiego ogrodu ze szpalerami i monstrualnymi¹⁸, poobcinanymi drzewy, kawałek ziemi, na którym posadził ogrodnik coś na kształt kwiatów. Pod pozorem doglądania ich miała przynajmniej godzinę w dniu, w której mogła wybiec swobodnie i podumać na swojej ławce z darniny.

Tam to pędziła najmłodsze w życiu godziny, słuchając słowika, pielęgnując kwiaty, wpatrując się w daleką okolicę, jakby za nią szukała oczyma rodzicielskiego domu i młodości złotej, których już dla niej nie było. Tam nigdy przynajmniej nie zeszła ją ciotka i pieski i nikt łez srogo zakazanych nie zobaczył. Była też przywiązana do swojego ogródka i codziennie mu się wypłacała. Ogrodnik stary dopomógł jej do zbudowania altanki i ławki na pagórku, z którego widać było całą okolicę: kilka wsi, wieżę parafialnego kościoła, gościniec, pola i lasy.

Tu Anna widziała przynajmniej życie i swobodę i jakże nieraz zazdrościła ubogim, co się po świecie tak wesoło przed jej oczyma kręcili. Często zapominała się na swojej ławce wilgotnej i, gdy wracała do pokoju, do ciotki, srogą odbierała burę i najcięższe wyrzuty, bo zegar wybił był godzinę dla ogródka dozwoloną. Biada Annie, jeśli Jan zdyszany przybiegł za nią do altany, aby jej opóźnienie przypomnieć; leciała wówczas nie oglądając się i z anielską słodyczą gotowała się na nieskończone gderanie pani Doroty, która nie mając innego pilniejszego zatrudnienia z upodobaniem i smakiem siostrzenicę burowała.

Lecz gdy nadeszła zima, Anna nawet i tych godzin drogo okupionych nie miała, trzeba było siedzieć w pokoju i bawić się z Żolką i Amorkiem albo patrzeć na nieśmiertelną cioci kabałę.

Życie w Złotej Woli to miało do siebie, że wszystkich, którzy tam dłużej pobyli, obracało w machiny. Ten zegar na podobieństwo swoje przekształcał wszystkich aż do piesków. Nie tylko Anna nawykła już była z każdą czynnością czekać uderzenia zegaru, lecz psy rozumiały jego bicie, a słudzy przeczuwali je z daleka. W lecie i w zimie zarówno o szóstej wnoszono

¹⁸ monstrualny – niekształtny, odrażający swą nienaturalnością

kawę do pokoju pani, o samym południu dzwoniono na obiad, o czwartej podawano poobiednią kawę, o wpół do ósmej zastawiano wieczerzę, o dziesiątej wszyscy spać się kładli, a światła gaszono. Nadzwyczajnej potrzeba było jakiejś okoliczności, żeby ten porządek zła-mała. Wielkie tylko święta wilia Bożego Narodzenia, Wielki Czwartek, Wielkanocne dni zmieniały porę obiadu i wieczerzy.

W domu pani Doroty były reguły na wszystko: wyznaczono kiedy zacząć się miało opala-nie pokoiów, kiedy kończyć, zresztą czy potem było zimno czy gorąco, to panią bynajmniej nie obchodziło. Wszystko w tym sposobie. Słudzy mieli najściślejsze przepisy, do których stosować się byli obowiązani, w stroju, jadle, napoju, robotach nic ich nie wymawiało. Mę-czennicy to byli skazani za grzechy jak Anna i, gdyby wolno wierzyć, że dusze zsyłane są nazad w ten świat za karę (jak Żydzi utrzymują na przykład), rozumiałbym, że dom pani Do-roty obmyśliła dla tych dusz nieszczęśliwych wola przeznaczenia.

Miarkujcie, co mogła cierpieć kobieta z czuciem i do współczucia przywykła przeniesiona w ten świat machin?

III

PAN MATEUSZ I PAN SĘDZIA

Gdy pan sędzia z panem Mateuszem siedli do powozu i ujrzeni się już w lipowej ulicy, starszy odwrócił się do sąsiada i zapytał:

– A cóż, panie Mateuszu?

– A cóż, panie sędzio? – odpowiedział szydersko zapytany – to klasztor!

– W istocie – rzekł sędzia – jest niejaki podobieństwo domu pani podkomorzyny z klaszto-rem; ale pięknaż w nim siedzi zakonniczka!

– Ha! zapewne niebrzydka – wybąknął zapalając fajkę Mateusz – ale diable milcząca i sztywna.

– Mówiłeś mi jednak – przerwał znowu Mateusz – że się przy niej nie wychowała, że ro-dzice jej byli bogaci i starali się dać jej świetną edukację?

– Tak było w istocie, ale młoda dziewczyna, przykuta od lat kilku do ciotki, rada nie rada wszystkiego przy niej zapomnieć musiała.

– Srogaż bo to ciocia.

– Surowa jak stary nauczyciel, a regularna jak jej zegar ulubiony, ale w gruncie niezła ko-bieta, pełna tylko starych przesądów.

– Uważałem, że nie bardzo na mnie miłym okiem patrzała.

– Nie ma ona innych oczu dla swoich faworytów; na każdego jednakowo patrzy.

– Rozumieszże, panie sędzio, iżbym mógł znaleźć u niej łaskę?

– Dlaczegoż nie, panie Mateuszu; jesteś młody, przystojny, będziesz bywał, postarasz się przypodobać, nie jesteś ubogi. Czemuż nie?

– A panna?

– O pannę nie ma co się wcale starać, wszystko zależy od ciotki: gdy ona zezwoli, panna – twoja.

– Jednakże...

– Nie ma j e d n a k ż e, ciotka cię zaprezentuje jako przyszłego męża, a panna i słówka nie powie. Mówią, że to jest anioł dobroci i posłuszeństwa, i w istocie dobrą będzie żoną, kto potrafił wyżyć z taką ciotunią. – Ha! ależ to trudne, panie sędzio! trudne do pojęcia.

– Trudne! trudne! waćpanu by się chciało przyjść tylko, wziąć za rękę i poprowadzić do ołtarza. Tak być nie może, chcąc coś mieć, trzeba popracować, warta też pracy jeśli nie panna to posag. Majątek czysty, nie odłużony (wprawdzie gospodarstwo idzie Bóg wie po jakimu, ale na to jest rada) mówię waćpanu, że wart przynajmniej czterokroć. Są podobno jeszcze kapitały, remanenta¹⁹ piękne, owce same...

– Co tam, panie sędzio, daj już pokój inwentarzowi. Ale ileż to potrzeba trudu, żeby tę ciocię niezdobytą nakłonić? I w jakież to sposób brać się do tego: pochlebstwem, uniżonością, nadskakiwaniem?

–Sposób łatwy – rzekł sędzia zażywając tabaki – gdybym nie był żonaty, poszedłbym w zakład, że tego bym dopiął. Oto naprzód trzeba poznać ciotkę, bo każdemu chcąc się podołać, poznać go wprzód należy. Jest to osoba nadzwyczaj zimna, regularna, porządna, u której na języku co chwila przywoitość, a w sercu najmocniejsze do wszelkich ceremonij i staroświeckich obyczajów przywiązanie. Chcąc ją sobie pozyskać, oczywiście trzeba się jej okazać takim, jaką ona jest, trzeba chwalić, co ona lubi, ganić, czego nie cierpi, co chwila spoglądać na zegarek, szanować aż do śmieszności zwyczaj domu, oddawać wizyty ze wszelką ceremonią i przywoitością, oświadczyć się po staroświecku, prosić o pozwolenie konkurowania i pozyskania afektu panny: słowem, obszyć się w skórę cudzą i udawać swojego dziada.

Co się tyczy panny, dla tej dość być grzecznym; na nic by się nie zdało starać się o jej miłość, popsuć by to nawet mogło interes w oczach ciotki, a zresztą będzie na to czas i po ślubie jeśli koniecznie o to chodzi. Tym sposobem ręczę za dobry skutek. Ale jedna nieostrożność popsuć może wszystko. Waćpan panie Mateuszu, jużes źle dziś zaczął, starając się zawiązać rozmowę z panną; widziałem, jak to zdziwiło obiedwie; lepiej daleko było bawić się z pieškami. Co się tyczy piesków, o tych łaskę mocno się także starać potrzeba, można by im wozić cukier w kieszeni, a przynajmniej sucharki; za drugim, trzecim razem nie od rzeczy to będzie; pomyślimy.

– Prawdziwie, sędzio – rzekł śmiejąc się i ściskając go pan Mateusz – gdybym nie wiedział o twojej przyjaźni dla mnie: przekonać bym się o niej musiał, z tej doskonałej, jaką mi dajesz instrukcji. Będę się do niej jak najściślej stosował i czuję, jak mi być może pomocna. Znasz – dodał ciszej – mój sposób myślenia i widzenia rzeczy. Nie ja to będę się uganiał za głupimi wymysłami, które zowią miłością, uczuciami i tym podobnymi bredniami.

Te ideały dobre są dla ubogich, głupich, którzy jak ten nędzarz jedzą chleb, przy zapachu pieczeni, wmawiając sobie, że on jest od samej pieczeni lepszy; ja lubię w każdej rzeczy istotę, nie uczucie. Po kiego licha mi te uczucia; wszystkie kobiety są równe i głupcy tylko wierzą w serce. Ja kiedy się ożenię, to dla pieniędzy, dla interesu, a pewnie nie z przywiązania jakiegoś, w które nie wierzę, powtarzam. I od mojej też żony nie wymagam, tylko byle mnie cierpiała i była mi wierna; zresztą wiem dobrze, co to zowią miłością! Cha! cha!

Ale mój sędzio! Z tym wszystkim dlaczegoż tu dotąd nikt tej Anny ręki nie mógł pozyskać?

– A bo wszyscy głupi! chcieli pannę rozkochać! Pokazywali się tej cioci z nowomodną manierą, tracili się na wystawne konkury, a nie pomyśleli, że trzeba naprzód stróża przekupić, nim się co ukradnie; że każdego znowu inną monetą przekupować trzeba, Waćpan, panie Mateuszu, właśnie możesz najlepiej wskórać, kiedy się nie myślisz kochać i tak na zimno a rozważnie będziesz rzeczy traktował.

– A jużciż! a jużciż! mówię i ci powtarzam, panie sędzio, że w tę uczucia nie wierzę, tak jak w post i jeszcze coś.

– Jesteś więc całkiem niedowiarek Boży?

– Cha! cha! – odrzekł Mateusz – człek bywał na świecie i poznał to wszystko z gruntu!

– Proszę aspana! i ty w nic nie wierzysz?

¹⁹ remanent (z łac.) – pozostałość w pieniądzech lub towarze; tu inwentarz martwy i żywy

- Prawie w nic, prócz pieniędzy.
- A jakże żyjesz na świecie?
- Pieniędźmi.
- Więc nie wierzysz i w moje przywiązanie?
- O! o! to co innego, Sędzio! kochasz mnie od dziecka, masz do mnie nałogowe, staroświeckie przywiązanie.
- A ty do mnie?
- Czyż wątpisz o tym, sędzio? – I pan Mateusz zabierał się uściskać sędziego, który rzecz inaczej zwrócił.
- Ale, ale – rzekł przypominam sobie jedną rzecz ważną, której ci jeszcze nie powiedziałem. Jest jeszcze jedna w domu cioci osoba, na którą, chociaż się ona nie pokazuje, wielka baczość mieć potrzeba, a może zacząć od ujęcia jej.
- Któż to taki?
- Komisarz pani, stary jej faworyt i sługa zaufany, pan Bałabanowicz. Ciocia ma w nim nieograniczoną ufność. Stary wyga pokornie się kłaniając umie z tego korzystać i robi, co mu się podoba. Ludzie mówią, że tego kradnie i któż by o tym wątpił! W jego położeniu kradłby najnotliwszy! Bałabanowicza potrzeba ci ująć, bo on jest cioci wyrocnią; kiedy on będzie za tobą, połowa wygranej. Umie znając panią Dorotę dobrać chwili i sposobu pochwalenia, zalecenia. Jeśli on się na waszeci skrzywi, po wszystkim! Bałabanowicza więc naprzód ująć ci potrzeba i ja, co go znam od lat dwudziestu, podam ci na to sposób. Stary jest skąpy, pijak i szachruje końmi; zaproś go, spój dobrze i daruj mu konia, będzie cię pod niebiosa wynosił.
- A niechże cię uścisknę, sędzio, za te rady – rzekł Mateusz – jakże ci się wywdzięczę?
- Wywdzięczysz mi się, jeśli to roztropnie poprowadzisz I ożenisz się – odpowiedział sędzia – kocham waści jak syna i radbym mu najlepszy los zapewnić. W całym zaś naszym sąsiedztwie nie ma lepszej partii nad pannę Annę. Jeszcze tylko słówko o majątku: żenisz się dla widoków, dobrze, żebyś wiedział, co weźmiesz.
- Pan podkomorzy nieboszczyk, mąż pani Doroty, był to sobie dobry safandula, który skakał całe życie, jak mu jego jejmość grała, a wreszcie nie mając bliskich krewnych, cały majątek zapisał żonie. Zostawił on dłużki, ale te trzydzieści tysięcy złotych nie przechodzą, to bagatela! Majątek ciocia niechybnie siostrzenicy zapisze; raz, że się już z tym słyszeć dała, a kobieta słowna! Po wtóre, że nie ma komu innemu zapisać i bez zapisów spadłby na nią; lekko tedy licząc czterykroć weźmiesz, bratku!
- A nóżki bym twoje, sędzio, ucałował! Niech trzykroć! to tak dobrze być bogatym!
- O! czemu nie? zapewne, że dobrze!
- Człek by sobie dopiero pozwolił.
- Pozwoliłby sobie stracić?
- Ba! ba! byłoby z czego zahulać nie tracąc funduszu.
- Ale mości panie, pamiętać także trzeba o tym, żeby zaraz od żony wymóc zapisy!
- To się rozumie.
- Inaczej byś miał ręce związane i byłbyś tylko panem dochodów. Potrzeba się nam będzie starać, aby stara za życia dała wam folwark jaki w posagu. Czy jej nie dość będzie Złotej Woli? Prawdę powiedziawszy mogłaby puścić i Złotą Wolę, a sama przy was by Pana Boga chwaliła i pieski karmiła.
- Zapewne, ale...
- Mnie się zdaje, że my to zrobim przez Bałabanowicza. Prawda, że jemu o to chodzi, żeby rządzić całym majątkiem, ale postąpiwszy mu coś.
- Dawszy mu co w łapę...

– Rozumie się nie wprzód, aż do intercyzy²⁰ przychodzić będzie. Stary filut mógłby ci figla wypłatać.

– To się rozumie, sędzio.

– A teraz, sza! cicho, ani słowa nikomu! Sąsiedzi i dawni konkurenci mogliby nam przeszkadzać przez samą zazdrość, im się zdaje, że kiedy oni poszli z kwitkiem, to i wszyscy harbuza dostaną. A wielka rzecz, że im się nie udało, kiedy każdy z nich miał na sercu, żeby przynajmniej jedno, jeśli nie więcej, głupstwo zrobić przeciw sobie! I tak: pan Alojzy rwał się jak szalony do panny, a ciotce się nawet nie pokłonił; pan Hieronim z Bałabanowiczem w kłótni śmiertelnej, pan Wincenty skaleczył psa faworyta przy pierwszej wizycie! I jakże im się udać miało?!

– To prawda, sędzio! A zatem cóż teraz dalej mam robić?

– Według wszelkich reguł i praw (o ile przypominam sobie) potrzeba, aby teraz stary jaki przyjaciel jechał do pani Doroty oświadczyć, że waszeć masz chęć starania się o jej siostrzenicę i prosił o pozwolenie bywania w domu. Tym samym przyjacielem będę ja; ale wprzód trzeba Bałabanowicza ująć.

– Jakże by to go do mnie zwabić?

– Ja ci go jutro przywiozę, czekaj nas z butelkami i nie wahaj się, gdy pochwali jakiego konia, darować; będzie ci się wymawiał, zaklinał, że nie weźmie, wzdragał, ale to są udania.

– Oczywiście, sędzio! Kto by tego nie znał!

– Jak tedy Bałabanowicz dobre słowo powie, pojedę ja, a jeśli (o czym nie wątpię) ciotka mi pozwoli cię przywieźć, naówczas formalnie cię w konkury zainstaluję. Potem w Imię Ojca i Syna! rób waszeć swoje interesa, a jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz..

– No, już wierz mi, sędzio, że potrafię dać sobie rady: znam ja kobiety!

– Pozwól sobie powiedzieć, że znasz tylko miejskie: wielka to różnica miejskich od naszych wieśniaczek, jak ogórka z inspektów od ogródka z grzędą! Miejskie są rozumniejsze, wolniejszych obyczajów...

– O! co się tyczy obyczajów, wszystko to pono jedna różnica, że jedne się kryją i wstydzą, drugie im więcej broją, tym wyżej głowę drą.

– Wcale nie! U nas cnota jest koniecznością, a za moich czasów po miastach była śmiesznością tylko. Wziąwszy tu żonę, będziesz miał głowę spokojną...

– Póki jej będę pilnował!

– Sama ci się ona upilnuje, bo się będzie bała o opinię...

– No! no! no! nie wierzę ja w to!

– Ale boś ty straszny niedowiarek, panie Mateuszu!

– Cha! cha! cha! filozof, powiedz, filozof! Któż to dziś w tym oświeconym wieku wierzy w te fatalaszki? Trzy grosze nie dadzą za uczucia, za cnoty itd. Były to podobno wielkie, słowa tylko, sędzio, którymi sobie ludzie w oczy rzucali jak piaskiem, żeby się lepiej na wzajemne swoje czynności zaślepić; dzisiaj człek wierzy w pieniądź tylko, śmieje się z uczuć, a zresztą postępuje ostrożnie i zawsze bacznie na swój interes.

Gdy tych słów domawiał pan Mateusz, powóz zajeżdżał w dziedziniec jego wioski i zakręcał przed mieszkalnym domem. Gdybyśmy jeszcze nie dali poznać pana Mateusza z jego sędzią rozmowy, łatwo by każdy domyślił się charakteru tego człowieka z powierzchowności mieszkania. Jest bowiem związek wielki między domem a człowiekiem, co go sobie urządził. Dwór pana Mateusza był porządnie ogrodzony, dziedziniec czysto utrzymany; kuchnia stała pod bokiem, aby potrawy daleko przenoszone nie stygły.

W najdrobniejszej rzeczy widać było zimnego, nielitościwego egoistę, który w całym świecie nic nad siebie nie widział. Dom świeżo zbudowany, porządny, ale dla oka niemły, bo

²⁰ intercyza (z łac.) – umowa przedślubna ustalająca stosunki majątkowe między przyszłymi małżonkami

bez znajomości budownictwa wystawiony, pomalowany był żółto. Są strony, w których wszystkie budowle na żółtaczkę chorują i to właśnie była okolica, w której endemicznie²¹ panowała także żółtaczka. Przyjęli przy wysiadaniu sędziego i pana swego ludzie porządnie ubrani, zwinni, ale jak snadno poznać można było, mocno bojący się pana, który nie musiał być z najłagodniejszych.

Wnętrze domu oddychało tymże porządkiem i wygodkami obmyślonymi wcześniej; lecz nigdzie nie było smaku i wdzięku, bo ożywiająca mieszkanie myśl czołem biła przed ciałem gospodarza i o jego tylko wygody starała się. Na samym wejściu do sieni wzniosła się wielka burza z powodu, że okna wczas od komarów nie zostały pozamykane. Pan Mateusz łajał nielitościwie sługi, którzy z przestachu głowy potraciwszy latali. Wreszcie weszli przybyli do pokojów i kazano co najspieszniej podawać samowar.

My tymczasem skreślimy w kilku słowach wizerunek pana Mateusza, a naprzód jego życie; bo przeszłość ręczy za przyszłość, wiąże się z nią ściśle i obie od siebie zależą. Pan Mateusz był jedynakiem u rodziców, a zatem popsutym dzieckiem; los jego chciał, żeby rozpieszczony przez ojca i matkę, wcześniej ich stracił i z zarodami egoizmu, z wielką żądzą użycia świata został sam jeden.

Wprawdzie miał on jakiegoś opiekuna, ale temu daleko więcej o dziesiąty grosz chodziło niż o dziecię jemu powierzone. Wcześniej skarbiąc sobie łaski chłopca, opiekun wszystkiego mu dozwalał, wszystko chwalił i udawał ku niemu najwyższe przywiązanie, żeby pod tą pokrywką za dojściem do lat, łatwiej rachunki z opieki zdać mógł. Pan Mateusz chodząc do szkół, potem do uniwersytetu puścił sobie cugle i co tylko złego w towarzystwie zepsutej młodzieży da się pochwycić, nabrał wszystkiego.

Usposobiony uprzednim wychowaniem, wziął swoją rozkosz za cel życia, bez zasad religijnych; obcując z małowiernymi do reszty stał się niedowiarkiem, wylawszy się na dogadzanie namiętnościom; osądził prędko cały świat za takiego, jakim był sam, i wyuczył się szydzić, jak z udania, ze wszystkiej bezinteresowności, poświęceń, uczuć szlachetnych, które spotykał po drodze życia. Lecz myślę się zowiąc go niedowiarkiem: pan Mateusz jak bydlę nie czuł nawet potrzeby wiary, żył nie myśląc, czy ma duszę, szydził najbezsensowniej z tych, którzy mieli wiarę, bo nie mógł pojąć nawet, jak oni szczerze wierzyć mogli.

Był więc nasz bohater zupełnym bydlęciem i życie prowadził jak zwierzę. Wszystkiego rodzaju nasycenie było pierwszym celem jego, o sławę nie dbał, nie dbał o cnotę, śmiał się, kiedy mu mówiono o czyjej poczciwości, nie wierzył w przyjaźń, nie wierzył w miłość, wszystko gotów był dla widoków udawać. Zaczął od swego opiekuna, którego procesował doszedłszy lat i zgubił na majątku: trafiła kosa na kamień. Potem, wypuściwszy wieś swoją dziedziczną, mieszkał w mieście, ulubionej siedzibie ludzi zepsutych. Tu w całym znaczeniu wyrazu hulał, a po kilku latach spędzonych w towarzystwie najzepsutszym, nabywszy jeszcze hipokryzji²² w dodatku do pięknych przymiotów swoich, ugruntowawszy się w profesji²³ egoisty, obaczywszy łysinę i krągłej brzuch pomyślał wrócić na wieś, żeby się dobrze ożenić. Stary, zepsuty jako on, pan sędzia, stał się pomocnikiem najgorliwszym i zawiózł go, jakeśmy widzieli, do domu pani Doroty.

Taki to był konkurent Anny; łatwo każdy pojmie, jaką on dla niej przyszłość obiecywał; lecz nie łapmy ryb przed niewodem.

²¹ endemicznie (z grac.) – tu: nagminnie

²² hipokryzja (z grec.) – dwulicowość, obłudność

²³ profesja (z łac.) – zawód; tu: postawa, charakter

IV

BAŁABANOWICZ

Z południa następnego dnia przez Brzozówkę, wieś pana Mateusza sunęła się bryczka zaprzężona czterema końmi w szlejach. Na kozłach siedział woźnica w prostej świcie i poganiał z całych sił starając się wydobyć z jesiennego błota, którego wielkie zapasy wyziewające przeraźliwe wonie wśród wioski spoczywały. W bryce siedział znajomy nam pan sędzia i drugi jakiś jegomość, niechybnie pan Bałabanowicz.

Była to grubawa figurka, z twarzą czerwoną, nosem opoja, oczkami szarymi, usty sinymi, chytrym spojrzeniu, w peruce rudej na wierzchu głowy, spod której siwe wyglądały strzępki dokoła. Pan Bałabanowicz ubrany był, jak wszyscy skąpcy, w odzienie czyste, ale z kroju łatwo pokazujące, że dobry lat dziesiątek w kufrze leżało. Opierał się na starej lasce ze skórzanymi kutasy, złamanej i związanej sznurkiem bezwstydnie.

Milczący, kłaniający się, pokorny, pan Bałabanowicz, wszystko widział, postrzegał i zdawało się po jego szarych oczkach, że zawsze myślał tylko o zdradzie.

Stanęli przed gankiem. Wyszedł na spotkanie gospodarz, nastąpiło przywitanie i pan Bałabanowicz trzymając w ręku laskę skurczony, zbiedniony, kłaniający się wszedł do pokoju potknąwszy się na progu. Kipiał już samowar na stoliku, a służący robił poncz. Sędzia i pan Mateusz na migi pokazali sobie, że naprzód gościa spoić wypada. Gospodarz miał w tym nawet rachubę, bo czując potrzebnym darować mu konia, sądził, że gdy pijanemu konie swoje pokaże, Bałabanowicz może z pochwałami do mniej kosztownego się uczepli.

Zaczęła się żywa rozmowa, w której po większej części komisarz pani Doroty, brał tylko udział kiwaniem głowy i wykrzyknikiem:

– Samo z siebie, panie dobrodzieju!

Było to jego przysłowie.

– A! szanownaż to osoba pani podkomorzyna – rzekł sędzia.

– Samo z siebie! – odpowiedział Bałabanowicz. Osoba pobożna, regularna, pocziwa!

– Cóż to za przykładne prowadzi życia, od czasu owdowienia!

– Samo z siebie! – rzekł znowu komisarz.

– Jak się ona poświęca wychowaniu swojej siostrzenicy! Pan Bałabanowicz na te słowa spojrział wilczo na sędziego i poruszył się na krześle, jakby go co upiekło.

– Będzie też to doskonała żona, komu ją Bóg da! – dołożył sędzia.

Bałabanowicz, który już sobie podpiał, zapomniawszy się uśmiechnął i kiwnął głową, jakby mówił: jestem w domu; potem zaczął się bawić rzemykiem swojej laski.

– Ja tu – ciągnął sędzia mrugając na pana Mateusza – zrobiłem, przyznam ci się, maleńki projekcik?

– Hm? Cóż to takiego? – spytał skąpiec popijając, jak gdyby się jeszcze nie domyślał.

– At! projekcik szwatostwa! Chciałbym pannę Annę wydać za pana Mateusza. Mnie się zdaje, że w tym by nic nie było dziwnego?

– Samo z siebie! – odpowiedział kłaniając się i śmiejąc podpity.

– Pan Mateusz chłopiec młody, przystojny, *bene natus et possessionatus*²⁴, uczciwy, dobrze się prowadzący, dbający o fundusz! byłąby to dla panny Anny partia stosowna; nieprawdaż?

– Samo z siebie! samo z siebie!

²⁴ bene natus et possessionatus (łac.) – dobrze urodzony i zamożny

– Wiedząc ja o zachowaniu pana dobrodzieja w domu pani podkomorzyny, chciałbym dla pana Mateusza zaskarbić sobie dobre jego słowo i wyrozumieć przezeń, czyli to do skutku przyjść może?

Tu i pan Mateusz zbliżył się, zaczęto ścisnąć się, pan Bałabanowicz mruczał i kłaniał się niziuchno obiecując wszystko a wszystko.

– A jakże, jakże – wołał obłączony komisarz – ja wszystko, co tylko ode mnie zleży, uczynię! Ale bardzo chętnie! z całego serca! Bardzo bym się ucieszył! Samo z siebie! Nieskończenie mi będzie przyjemnie, jeśli w czym użytecznym być potrafię.

– Niech pan będzie pewien mojej wdzięczności – rzekł w końcu Mateusz – przy pierwszym widzeniu uczułem taki szacunek dla pani podkomorzyny i dla panny Anny, że nie kryję się z tym, jakbym sobie życzył, żeby projekt pana sędziego przyszedł do skutku. Wiem ja, że; pan dobrodziej masz w tym domu zaufanie: chciej że tam przy okoliczności słówko za mną powiedzieć.

A pan Bałabanowicz ciągle stojąc na trzęsących się nogach i poprawując peruki, którą zsuwał prawie na oczy odkrywając z tyłu łysinę, powtarzał:

– Z całego serca! panie dobrodzieju! z całej duszy! Niech pan dobrodziej będzie pewien! Nie omieszkam! Samo z siebie! Za tak zacnym obywatelem! Samo z siebie.

Nareszcie wynurzywszy się posiadali. Bałabanowicz, był tego podpiły, jak się pokazywało z oczu, które nabrawszy niezwykajnego blasku, jeszcze się zdawały zmniejszać co chwila i już tylko jak dwie drobniutkie gwiazdy na niebiosach na czerwonej twarzy jaśniały.

Powoli sędzia zaczął zwracać rozmowę na konie.

– A już kto znawca i amator, to pan Bałabanowicz! – rzekł. W całym sąsiedztwie nie ma takiego konesera²⁵.

– Łaska to pańska! – odrzekł uśmiechając się napiły. – At! człek się to niby zna i lubi.

– Któż by znów koni nie lubił! – rzekł pan Mateusz. – Ja zawsze z upodobaniem zatrudniałem się nimi! mam nawet stadko, mogę powiedzieć, niebrzydkie.

– Pan dobrodziej ma stadko? – zapytał oblizując się Bałabanowicz.

– A jeśli pan ciekawy, każę wpędzić na dziedziniec; od takiego znawcy dobrze posłyszec zdanie, co też powiesz o moich konikach.

– Ale to subiekcja²⁶!

– Nic, nic! konie tu są blisko, każę zaraz przypędzić. Hej! jest tam który? Słyszysz, przypędzić tu stadko przed ganek.

– Zaraz, panie!

W kilka chwil zatętniał dziedziniec i zwawe stadko pokazało się przed oknami. Wyszli wszyscy na ganek. Bałabanowicz swoim nieznacznym spojrzeniem spode łba wnet przebiegł hasające konie, policzył, rozpoznał i zaczął chwalić.

– Ten konik – rzekł – dobrej rasy!

– Po tureckim ogierze!

– O! to zaraz znać z grzywy, ogona i ze składu całego! Ta klacz także piękna! a czy młoda?

– Trzy w czwartym.

– Ona jeszcze się złoży i zgrubieje!

– A zapewne.

Nareszcie wybryknął przed gankiem tęgi koń gniady.

— A to silny i piękny koń! – zawołał Bałabanowicz. – Co za pierś! Chodzi on już w zaprzęgu?

²⁵ koneser (z franc.) – znawca

²⁶ subiekcja (z franc.) – trud, kłopot

– Zaprzęgany na biczowych²⁷, otargany²⁸ trochę! – odpowiedział pan Mateusz misternie. Czy mi się zdaje, czym podobną do niego trójkę widział u pana?

– U mnie? – zdziwiony rzekł skąpiec – a gdzie?

– Przechodziły gdzieś konie pańskie, w drodze...

– Być może, w istocie mam podobne.

– Tylko trzy?

– Trzy, tak jest, trzy.

– W Panu dobrodziej naturalnie potrzebujesz czwartego, będziesz je zapewne czwórką przedawał.

Bałabanowicz zląkł się, żeby mu po pijanemu nie kazano konia kupować i ponuro odpowiedział:

– Nie, nie, ja niekoniecznie potrzebuję! mam nawet Upatrzonego podobnego!

– Ale mi się zdaje, że ten przyjdzie do trójki?

– To jest – tak – zapewne! Być może! – tylko...

– Bardzo bym rad, żeby mu się podobał, mógłbym mu go ofiarować!

Na te słowa osłupiał Bałabanowicz, nigdy w życiu nie zdarzyło mu się tak znacznego podarunku otrzymać. Zląkł się więc bardziej jeszcze, niż ucieszył, bo domyślając się, że pan Mateusz nie czynił tego bez interesu, zaczął się domyślać jakichś zamiarów wielkich i chytrych z jego strony; nie potrafił więc odpowiedzieć, tak się zmieszał. Z jednej strony bardzo mu ten podarek dopełniający czwórkę, na którą od roku pracował, pochlebiał; z drugiej bał się skompromitować i szukał po głowie, co by prócz ożenienia mógł knuć sędzia z panem Mateuszem.

– Mnie się zdaje – podchwycił sędzia, że to jak diabeł malował, do czwórki pana Bałabanowicza!

– Juściż – przebaknął stary – dojdzie.

– A jeśli tylko przyjdzie do czwórki, niech go pan bierze. Miło mi bardzo tę bagatelę ofiarować mu i polecić się jego przyjaźni.

Sędzia z drugiej strony szepnął w ucho:

– Pamiętajże, daj mu dobre słowo przed podkomorzyną.

– Samo z siebie! I bez tego! Ale jakże! – mruczał stary lis. Ale na cóż ten prezent? Ludzie gotowi gadać...

– Powiesz, żeś kupił – przerwał sędzia – a od nas nikt się nie dowie.

– Hm! hm! tego! hm! – Bałabanowicz już się nie opierał i ścisnął rękę pana Mateusza, który dał znak ludziom, aby konia złapali i dysponował masztalerza²⁹ dla odprowadzenia go do Złotej Woli.

– Za pozwoleniem pańskim, jeśli już jego taka łaska – przerwał stary – niech go nie do Złotej Woli, ale do mojej posesyjki, którą tam mam pod bokiem, odprowadzą.

– Bardzo dobrze!

Ta posesyjka szła rocznie tylko pięćdziesiąt tysięcy złotych, a Bałabanowicz zyskiwał na niej prawie drugie tyle.

Zmierzchało już, kiedy nazad z ganku do pokoju powrócili; tu już wrzał poncz w wazie i zaczęto pić znowu; wkrótce stary koniarz językiem ledwie niezrozumiale obracał. Gdy usnął zupełnie, pan Mateusz z sędzią trzeźwi wysunęli się do drugiego pokoju.

– No, wiesz ci – rzekł sędzia siadając w krześle – Bałabanowicz ujęty i wszystko pójdzie dobrze; starym tym lisem nie można gardzić, ale też i ufać mu zbyt mocno się nie godzi!

²⁷ zaprzęgany na biczowych (starop.) – trzeci koń doprzężony do dwóch dyszlowych

²⁸ otargany (starop.) – tu: ujeżdżony, oblaskawiony

²⁹ masztalerz (z niem.) – starszy stajenny, dozorca stajni

Kto wie, co on tam sobie myśli, a że tylko dla swego interesu robi zawsze wszystko, trzeba chcąc go mieć za sobą, pokazać mu w tym jego korzyść.

– Rozumiem – odpowiedział Mateusz – mogę go oślepić okazując chętkę mieszkania w mieście i zamiar powierzenia mu moich interesów. Będę przed nim grał rolę nie lubiącego bardzo szczerze wglądać w interesa, będę utyskiwał na brak uczciwych ludzi, plenipotentów i dojdę nawet do zaproponowania mu...

– Rozumie się, że tego potem nie dotrzymasz – przerwał prędko sędzia – byłoby to największe głupstwo w świecie!

– No! no, nie bój się, dam ja sobie rady, bądź pewien. Ale wieszże sędzio, jakiego ja mu konia darowałem?

– Pewnie ma jaką wadę ukrytą!

– Nie jedną, ale kilka. Są jednak tymczasem tak zamaskowane, że gdy się odkryją, stary nie będzie nawet śmiały posądzać mnie: spadnie to na karki jego ludzi! Spleczony³⁰ i bez kłęba³¹! – na ucho poszepnął pan Mateusz śmiejąc się cicho – w dodatku ściga się jucha!

– Wybornie! doskonale!

– Uprzedzając podkomorzynę – odezwał się po chwili sędzia – która niezawodnie zechce widzieć stan właściwego majątku, potrzeba odkryć go przed Bałabanowiczem, jak się tylko dobrze przetrzeźwi. Masz waćpan długi?

– Kto ich nie ma?

– Wszystkie są intabulowane³²?

– Ani połowa.

– No, to dość pokazać te, które są w aktach.

– Masz waść jakie kapitały?

– Mało znaczące i w niepewnych rękach.

– Ja waści dam skrypt kondyktowy³³ na sto tysięcy złotych, antydatowany³⁴ o rok; możesz go nawet oblatować³⁵ dawszy mi kwit, który ja do czasu schowam. Tym sposobem fundusze twoje pokażą się większe na oko.

– Niechże twoje nóżki ucałuję, mój sędzio, za te ojcowskie rady i pomoce! Oto przyjaciel, oto człowiek! Czy nie potrzeba ci czego? czy nie żądasz czego do wygody, jeść, pić! Dysponuj że w moim domu! zmiłuj się! rozkazuj! dobrodzieju! Prawdziwie, głowę tracę i nie pojmuję, jak ci się wywdzięczę!

– No! no! daj temu pokój! – odpowiedział sędzia – ja nie potrzebuję wdzięczności. Będę dość rad i zadowolony, jeśli się waszeć ożenisz dobrze. Co się tyczy stanu twoich interesów, ja to sam przed Bałabanowiczem, niby niechcący, się wygadam, a ty daj pokój i spuść się zupełnie na mnie. Każ dawać wieczerzę, a ja go pójde obudzę.

Sędzia wszedł z cicha do pokoju, w którym spał komisarz pani Doroty, i przekonawszy się, że ten śpi w istocie, przewrócił krzesło, żeby go obudzić.

Łoskotem tym wyrwany ze snu stary schwycił się³⁶ i nie wiedząc, co się z nim dzieje, porwał za laskę, usiłując co najlepiej oczy otworzyć.

– Ha! zasnąłeś sobie trochę! – Na te słowa Bałabanowicz – przyszedł zupełnie do przytomności i bardzo pomieszany, zaczął się wymawiać.

– Prawdziwie, bardzo przepraszam, jakoś...

³⁰ spleczony – o nadwerężonej łopacie

³¹ bez kłęba – bez wypukłej kości biodrowej

³² intabunowany (z łac.) – wpisany do księgi hipotecznej

³³ skrypt kondyktowy (z łac.) – tu: nieprawdziwy kwit dłużniczy

³⁴ antydatowany (z łac.) – z datą wcześniejszą

³⁵ oblatować (z łac.) – wpisać w akta hipoteczne

³⁶ schwycił się – tu: zerwał się

- Ale i ja spałem – rzekł sędzia – tak nas ten pan Mateusz spoił tym morskim ponczem.
- Prawda, pozwoliliśmy sobie trochę nadto.
- No, nie ma nic złego w przyjacielskim domu! Co tam.
- Ale ja – pierwszy raz!
- O! zachciałeś uważać na to! Sam gospodarz to lubi! kiedy gości spoją, cieszy się tym i raduje, a gniewa się na tych, co pić nie lubią!
- Któż by to nie lubił! – szepnął Bałabanowicz prostując się i poprawując na sobie odzienie.
- Zapewne, mój łaskawco! Ale podobno, że już mają dawać wieczerzę. Trzeba wybić klin klinem, napijem się kminkówki! Jakże on ma wódki ten Mateusz, ot to dopiero zobaczysz!
- Czy nie będzie zanadto?
- A cóż tam znowu za skrupuły! Co było, a nie jest, to nie pisać w rejestr. Jużemy poncz przespali, teraz chodź no do wieczerzy.

I wzięwszy pod rękę starego, sędzia poprowadził go do jadalnej sali.

Tu już nakryto było do stołu i służący na tacy wnosili właśnie ze sześć flasz wódki do wyboru; gospodarz gatunkował wina przy drugim stoliku. Gdy weszli, szepnął coś prędko słudze i zawrócił się do nich prosząc na wódkę. Bałabanowicz wstydząc się swego snu robił minę panny młodej nazajutrz po ślubie, jednakże, gdy go zapach goldwaseru³⁷ zaleciał, napił się dużym kielichem i raźniejszy już siadł do stołu.

Kuchni Mateusza nikt zarzucić by nic nie potrafił: ten czciciel swego żołądka lubił jeść smaczne i wytwornie. Toteż Bałabanowicz przywykły do tłustej kuchni pani podkomorzyny od szafranu, piernikowego sosu i białych podlewok zjadł z całą żarłocznością skąpca, który radby się napchać na pół roku, gdy go to nic nie kosztuje, a podniebienie łechce. U siebie nieborak żył tym, co stara gospodyni uwarzyła dla czeladzi.

Dopiero przy trzeciej potrawie zaczęto rozmawiać; podjadłszy już dobrze. Słudzy raz wraz napełniali kieliszki, lecz uważniejszy od pana komisarza byłby postrzegł, że jemu inne, a gospodarzowi i sędziemu inne wino nalewano. Pan Bałabanowicz jednak wcale tego manewru nie uważał i pełen strachu, żeby się znów nie upić, ile razy ujrzał kieliszek przed sobą, nie potrafił się oprzeć nagabaniu do wypróżnienia go. Z początku kosztował, kosztował, potem jednym łykiem kończył. Natychmiast sługa przystępował i nalewał nowy, od którego broniąc się i wymawiając stary, w końcu pozwalał napełnić z warunkiem, że to miał być ostatni: tych ostatnich było kilkanaście.

Przy stole wszczęła się znowu rozmowa o koniach, a pan Mateusz skorzystał z niej zalecając Bałabanowiczowi, aby się kazał uważnie obchodzić z darowanym koniem, gdyż był delikatnej natury. Tym sposobem zręcznie uprzedził go, żeby kalectwa, jakie się znajdują, nie jemu, lecz złemu obchodzeniu się przypisał.

Po czym znowu sędzia zaczął o domu pani podkomorzyny, o pannie Annie, o projektach swatostwa. Bałabanowicz uśmiechał się, jadł, pił i niekiedy z pełną gębą jadła odzywał się ze swoim:

- Samo z siebie!
- Jakże ci się zdaje – spytał go sędzia – czy to się nam uda?
- A jakże! niezawodnie! – zawołał upijając się do reszty stary – ja w tym, że to się uda!
- Zdrowie pana Bałabanowicza!
- Zdrowie przyszłych małżonków! – rzekł podnosząc się a chwiejąc komisarz.
- Szampańskiego! – krzyknął gospodarz.

I wnet strzelił korek, zabielał szampan w długich kieliszkach, powtórzono zdrowia wszystkim; pozwolono sobie nawet nieprzytomnej³⁸ pani podkomorzyny i panny Anny zdrowie

³⁷ goldwaser (z niem.) – złota woda; znana wódka gdańska

³⁸ nieprzytomny – tu: nieobecny

wypić, przeciw czemu rumiany znowu i ledwie bełkoczący Bałabanowicz ani się myślał protestować. Około północy jeszcze na podkurek wypiwszy ponczu poszli wszyscy, a raczej zawlekli się do łóżek; Bałabanowicz był cały siny jak nos indyka, kiedy się pogniewa i napuszy.

V

KONKURY, POLOWANIE NA BAŁABANOWICZA

Takim sposobem sędzia z panem Mateuszem obmyśliwszy Wszystko, zapewniwszy sobie pomoc Bałabanowicza, który nie Omieszkał wychwalić i pod niebiosą wynieść konkurenta, pokazawszy mu stan majątku fałszywie, ale do okoliczności stosownie, zabierali się ostatecznie już kończyć. Całe sąsiedztwo nic o tym jeszcze nie wiedziało, wszyscy spokojni siedzieli i ani się nikt nawet tego knowania nie domyślał. Sędzia zaraz w dni kilka stawił się w Złotej Woli i, zastawszy w różowym humorze panią podkomorzynę, oświadczył jej od pana Mateusza prośbę, aby raczyła dać swój k o n s e n s³⁹ jego odwiedzinom w celu pozyskania afektu jm. panny Anny. Najpomyślniejszą otrzymał odpowiedź, którą już uprzedzona przez Bałabanowicza nagotowała była pani Dorota. Jej najbardziej pochlebiali te grzeczności i te ceremonie, które przypominały młodość i pana podkomorzego.

Całkiem fałszywie mając wyobrażenie o panu Mateuszu cieszyła się, że tak zacny i majątny kawaler starał się o jej siostrzenicę. Co się tyczy Anny, ta ledwie się domyślać mogła, o co chodzi, stąd, że jej ciotka kazała się starannie ubierać i w pokoju dosiadywać przy gościu. Przeczuwała jednak wszystko nie wiedząc o niczym i modliła się po cichu, aby od niej Bóg odwrócił tego jak innych. Nie wiedząc bowiem czemu, czuła ku panu Mateuszowi ten wstręt instynktowny jakiś, który zawsze zwiastuje, że się człowieka strzec potrzeba; nie darmo dała nam to uczucie natura; jest to przestroga jej, często lekceważona, a bardzo jednak ważna!

Pan Mateusz jak kot przy kominie pochował swoje pazurki i pokazywał się w Złotej Woli takim, jakim się mógł i powinien być podobać. Z największą bacznością pilnował godzin, zaglądał do zegarka, pieścił psy, ustawiał krzeselka na miejscu, westchnieniem mówił o dawnych czasach, wychwalał dawne napomniane zwyczaje.

Słuchała go z radością pani Dorota, a gdy jeszcze począł ją wypytywać o nieboszczyka podkomorzego, o zdrowie piesków i chwalić Bałabanowicza jako wzór wierności i pracowitości wznosił ją do siódmego nieba. Łatwo pojąć, że tym sposobem pan Mateusz wkradł się prędko w łaski pani Doroty głębiej, niżeli ktokolwiekby inny. Sam on pewny już był wygranej, lecz dla oka i starodawnych zwyczajów przedłużał konkury, za co zresztą ciocia wdzięczną mu była.

Z Anną był grzecznym, ale zimnym Mateusz, nie cisnął się do niej, wobec tylko ciotki czasem ją zagadnął z daleka. Zawsze poważny, pełen uszanowania nie okazywał żadnej miłości i po starodawnemu, jak się to u rodziców starano o pannę, tak on konkurował o nią u ciotki. Biedna dziewczyna przestraszona nie pojmowała tego, jak będzie mogła zostać żoną takiego człowieka. Znała go ona od razu; postępowanie Mateusza w oczach Anny dało miarę obłudy, na jaką mógł się zdobyć.

Widziała, że nie o nią, nie o jej przywiązanie, serce, osobę, lecz o posag jej starał się. W głowie jej się wywracało i nieraz lży gorącymi zlewała w nocy poduszki myśląc, jakiemu ją człowiekowi oddadzą. Im dłużej bowiem konkurował Mateusz, tym bardziej przekonywała

³⁹ konsens (z łac.) – zgoda

się, że nie być przeciw, niemu nie może, tak zręcznie trafił do słabości pani Doroty i potrafił ująć ją sobie. Domyślała się z daleka napiętych sieci słysząc nieraz pochwały oddawane mu przez Bałabanowicza najpospoliciej ganiącego wszystkich. Słudzy nawet byli zręcznie ujęci i przekupieni, żeby go chwalili.

I gdy ona na próżno modliła się, żeby ją Bóg od szpon tego zręcznego ptaka ocalił, wszystko przeciwnie jej życzeniu a stosownie do jego zamiarów nakłaniało się: co dzień Mateusz bardziej w łaskę ciotki się wkładał.

Chociaż nikt nigdy przed nią o zamiarach pana Mateusza nie mówił, chociaż jakby namyślnie zostawiono ją na boku, ona widziała tę odegrywaną się komedię, trafnie każdą tłumaczyła sobie czynność i coraz częściej płakała. Przyszłość jej okazywała się w prawdziwym, smutnym świetle rzeczywistym. Pojmowała myśl, jakie to będzie życie z człowiekiem, który się żeni dla widoków pieniężnych i który wszystko z siebie zrobić potrafi, byleby dopiął swego celu.

Porównyując znajdowanie się jego przy pierwszej bytności z następnym postępowaniem zrozumiała, że w przeciągu czasu oddzielającym pierwsze od drugich odwiedzin zajść coś musiało, że Mateusz zna słabą stronę ciotki i korzysta z niej rozmyślnie. To przydało jeszcze jej ku niemu odrazy, która wkrótce w rodzaj nienawiści i wstrętu zmieniła się o tyle, o ile pełne łagodności serce Anny wstręt i nienawiść pojmowało. Tak drząc nad swoim losem miesiące całe Anna badała postępy, jakie Mateusz czynił w łaskach ciotki i coraz bliższą widziała się niechybnej już zguby.

Naturalnie obrażało ją prócz tego, że Mateusz nic wcale na nią prawie nie zważał, ale bardziej jeszcze oburzała się na myśl, że on zapewne sądził ją bardzo ograniczoną, kiedy się tak mało maskując, aż do śmieszności pani Dorocie pochlebiał niezgrabnie.

Nieraz brała ją chętka okazać mu niechęć i wzgardę, dać mu do zrozumienia, że wszystko pojmuje i widzi, ale nie mogła się nigdy na to odważyć. W milczeniu więc jak winowajca, który patrzy na budujące się dla niego rusztowanie, spoglądała na gotujące się jej zamięzcie. Nie wiedząc o połowie nawet chytrych zabiegów Mateusza i sędziego, z ich oczu, z ich szepcótów, z miny domyślała się otaczającego ją spisku. Oni zaś obaj tak byli pewni, że Anna musi być posłuszną ciotce, że się nawet nie starali pozyskać jej względów i traktowali ją jak konia, którego by kupiec u pana targował.

W takich to okolicznościach zesła prawie cała zima i miało się ku wiosnie, gdy wskutek narady sędziego z panem Mateuszem wypadło, ażeby dobijać i kończyć. Tu naturalnie pomyśleli, że należało znowu przez Bałabanowicza, dowiedzieć się ze szczegółami o posagu i pogadać o interesach, a przez niego natchnąć panią Dorotę względem uczynić się mającego wydziału z majątku dla siostrzenicy.

Znowu tedy sędzia pojechał do posesyjki pana Bałabanowicza i pod pozorem rady jakiejś dla chorego konia zawiózł go do Brzozówki do pana Mateusza. Tu już poufalej do niego przystąpili nie skąpiąc ponczu i obietnic. Ażeby nie wydać się ze swoją myślą, zaczęto naprzód od koni, o których prawie cały wieczór była mowa; dopiero podpoiwszy pana komisarza, sędzia niby w pół żartem zaczął rozmowę z daleka.

– E! Wpan-bo, panie Mateuszu – rzekł zwracając się do niego – powinien byś już kończyć swoje konkury, mielibyśmy weselisko!

– Wszakże wątpić nie można – dodał sędzia – że pani podkomorzyna nie odmówi ręki siostrzenicy panu Mateuszowi?

– Samo z siebie! – rzekł znowu stary.

– Już kiedy pan Bałabanowicz tak mówi, to możesz być swego pewny – sędzia dodał – no, a kiedyż zrękowiny?

– Tak to państwu o tym mówić – odpowiedział pan Mateusz udając powagę i zamyślenie – ale potrzeba, abym wprzód był pewien, że nie będę miał wstydu.

– Już kiedy ci pan Bałabanowicz ręczy – rzekł sędzia – to wyślij tylko mnie z oświadczeniem, potem sam plackiem do nóg; będą zaręczyny, a. dalej, dalej po Nowym Roku – wesele.

– O! jakżebym był szczęśliwy! – krzyknął Mateusz – ja, co tyle mam szacunku dla tego domu, a mianowicie dla samej podkomorzyny, kobiety tak szanownej, tak – zresztą zjadł mrużąc – godnej, tak...

– A przy tym tak bogatej – dodał sędzia żartobliwie, chcąc rozmowę pokierować na majątek. Bałabanowicz usłyszawszy te słowa, jakby go febra porwała, rzucił kieliszek i pierwszy raz przyszła mu myśl, że mąż siostrzenicy może go zdetronizować i wyzuć z zarządu majątku. Była chwila, w której po niewczasie zalał się i pożałował udzielanej przez siebie pomocy; potrafił jednak być do tyła panem siebie, że się w kształcie uśmiechu wymówił.

– A – tak – bogatej – dodał cicho po chwilce. Sędzia i pan Mateusz po sobie spojrzeli.

– Mnie o to najmniej chodzi – rzekł obojętnie konkurent – wszakże wiesz, sędzio, że chociaż nie tracę majątku, rządzić nim nie lubię i kłopotów, jakie idą za interesami nie cierpię. Gdyby nie to, że czując prawdziwy szacunek ku pannie Annie, postanowiłem starać się o nią, dawno bym prosił pana Bałabanowicza, żeby moje interesa przyjął na siebie, a sam bym wyjechał.

Stary lis spojrzął w oczy mówiącemu, jakby usiłował z nich wyczytać, czy prawdę szczerą mówi; ale Mateusz tak doskonale grał rolę obojętnego, że go oszukał.

– Toż samo – mówił dalej gospodarz – gdybym miał co po żonie, pewnie bym jakiemu uczciwemu człowiekowi oddał w zarząd.

Czyż to być może – pomyślał w duchu Bałabanowicz – żeby on mnie miał za uczciwego! Osobliwsza rzecz pokazuje się, że to głupi człowiek: Tymci lepiej. Odchrząknął pomyślawszy to i spojrzął śmieiej. A sędzia podchwycił:

– Jużciż pewnie pani podkomorzyna da co po siostrzenicy?

– A – a – jękając się Bałabanowicz wybąknął – coś da! Samo z siebie, że coś da...

– Na przykład? – rzekł sędzia.

Komisarz obejrzał się bojąc się, czy go nie chcą złapać, ale się upewnił, gdy pan Mateusz, wcale niby nie uważając, o czym była mowa, przerwał.

– Nalewajcie wina!

– Na przykład? – powtórzył sędzia.

– Ja tego nie wiem – rzekł Bałabanowicz – lecz myślę, że – tu się zaciął, a sędzia zaraz powtórzył łapiąc go.

– Wpan myślisz, że...

– Ja myślę, że nic nie wiem – szepnął Bałabanowicz – bawiąc się kieliszkiem. – Jednakże...

– Jednakże co?

– Pani podkomorzyna może teraz dać jaki kapitał.

– A! mnie się to nie zdaje! – zawołał sędzia – nie lepiejże dla niej wypuścić jaki folwark: na przykład Dorotycki?

– Te – te – te – bąkał Bałabanowicz – ja tego nie wiem. Sędzia z panem Mateuszem postrzegli bojaźń Bałabanowicza, a zręczny konkurent, zaraz pochwycił.

– E! co tam da, to da! Tu się uważa honor połączenia z tak szanownym domem! A zresztą, jeśli mi puści folwark jaki, wcześniej sobie pana upraszam za komisarza pełnomocnego; a jeśli zechcesz wziąć w posesję, gotów jestem choćby dziś kontrakt podpisać!

– Cóż to za głupi człowiek, wszak on mi wierzy! – myślał Bałabanowicz, ale uśmiechając się uklonił i rzekł:

– Pewnie puści jaki folwark.

Mateusz trącił łokciem w bok sędziego i mrugnął na niego.

– Jakaś łaskaw panie – mówił konkurent – dajże mi słowo, że mi nie odmówisz! słowo honoru?

– A, a, a – samo z siebie! bardzo jestem – jestem, za zaufanie – ufanie – jąkał się Bałabanowicz. – Jakież on głupi! – pomyślał w duchu.

– Niechże ci podziękuję! – dodał porywając się od stołu Mateusz i biegnąc go uściskać – mój szanowny.

Bałabanowicz odsunął krzesło i cały chwiejący się ścisnął wzajem Mateusza myśląc sobie:

– Ależ to czysty wariat? wszak on mnie ma za poczciwego człowieka!

– Wina! wina! – zawołał gospodarz – wypijemy zdrowie pana Bałabanowicza mojego od dziś plenipotentą. Podano, wypito, a komisarz nie posiadał się z radości. Przychodziło mu wprawdzie na myśl czasem, że sobie z niego żartują, tak to dla niego nową było rzeczą widzieć tyle zaufania i szacunku u obcych, kiedy u Żydów nawet miał najpowszechniejszą reputację szachraja; jednakże nic nie okazywało, żeby to nie miało być szczerem, i na koniec wziął to wszystko za dobrą monetę.

– Dorotyńki to dobry majątek – rzekł sędzia wracając do rozmowy – folwark w pszennej ziemi, lasy towarne⁴⁰, nad rzeką...

– Dochody małe, małe – odpowiedział Bałabanowicz, – jeszcześmy go nie urządzili.

– Zawsze to tak bywa – rzekł Mateusz – póki się majątek nie doprowadzi do należytego porządku. – Tak! samo z siebie! ale to dobry majątek.

– A i Kijany niezły? – zapytał sędzia.

– Tak samo z siebie, ale rzadki urodzaj tam i bardzo nieomłotne...

– Ale jak się urządzi – znowu zakończył gospodarz.

– Za lat kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt – dodał po cichu plenipotent oddalając termin tego urzędu.

– Zapewne! – przerwał sędzia – majątek czasem lat kilkadziesiąt musi się regulować, uszasać, zabudowywać!

– Samo z siebie! – potakiwał Bałabanowicz dziwując się w duchu głupstw u tych panów, którzy nawzajem śmieli się z jego łatwowierności.

– Ale co my tam gadamy o majątkach – przerwał Mateusz – ot lepiej, sędzio, poradź, jak tu mamy z oświadczeniem zrobić.

– A cóż, rzeczy przygotowane, pani podkomorzyna nie od tego; prawda, panie Bałabanowicz?

– Samo z siebie!

– Więc w tych dniach kończymy. Ja z Wpanem pojedę, oświadczy się z regułą, plackiem do nóg upadniesz i, pośpieszmy z zaręczynami. Trzeba, żebyś Wpan przygotował pierścionki i podarki.

– Już to nie bój się, sędzio; ja w niczym nie chybię, co się tyczy zwyczajów.

– Oświadczenie może się odbyć w niedzielę. Zwyczajnie pani podkomorzyna prosi znajomych z kościoła parafialnego na obiadek do siebie, więc zapewne nikogo nie będzie tylko my dwaj; po obiedzie tedy upatrzysz chwilę s o l l e m n i t e r⁴¹ oświadczy się, co daj Boże szczęśliwie; a zatem – wypijmy przyszłych sukcesów i słodkiego szczęścia w pożyciu z siostrzenicą podkomorzyny!

Podniesiono kielichy, Bałabanowicz choć pijany, lecz jak pijak z profesji nie tracąc zupełnie przytomności wszystko, co słyszał, notował i pamiętał. Nasi spiskowi umyślnie znowu głośno się z tym przed nim wygadywali, aby podkomorzynę uprzedził o niedzieli i przeszkody, jakie by zaproszenie czyjeś na obiad stawiało, usuniono. Nie wątpili oni, że teraz równie już sobie podkomorzyna życzyła pana Mateusza, jak Mateusz tego zameżcia; a wreszcie tak uroczyście zamówiwszy Bałabanowicza na plenipotentę gospodarz był pewien, że on mu wyrobi puszczenie przynajmniej jednego folwarku w posagu po Annie.

⁴⁰ lasy towarne – nadające się do przemysłu drzewnego

⁴¹ sollemniter (łac.) – uroczyście

Tak nastroiwszy wszystko i udarowawszy jeszcze jakimś koniem Bałabanowicza późno w nocy rozjechali się spiskowi.

Stary lis nie chciał żadnym sposobem nocować i wymawiał się jakimś w okolicy jarmarkiem; uwierzono temu, znając go za największego szachraja na konie, bez którego żaden się najlichszy jarmark nie odbył.

Lecz zaledwie Bałabanowicz był za bramą, uwiął się w wilczurę wytartą i spojrzawszy na oświecony dwór pana Mateusza tak z sobą rozmawiał:

– Albo ja głupi, albo on; albo on mnie oszuka, albo ja jego. Czy to być może, żeby on mnie miał za uczciwego człowieka? Czy nie drwił on sobie ze mnie. Ale nie! Oni chcieli ze mnie wyrozumieć, co podkomorzyna da po siostrzenicy, jam się im tego wywinał i nic nie powiedziałem. Trzeba jechać do podkomorzyny i oznajmić jej o wszystkim. Niechaj ona nie wyzuwa się z majątku, kto wie, czy pan Mateusz zrobi komisarzem, czy nie? a ja może...

I tu nie śmiał nawet sam sobie głośno swoich zuchwałych myśli powierzyć.

– Niech podkomorzyna da panience pięćdziesiąt tysięcy złotych, to i to dosyć tymczasem, a zresztą głuchą, ustną obietnicę zapisu, bez wyrażenia jej w intercyzie. Kto wie? kto wie?

Dumał sobie znów coś niewyrozumiale pan Bałabanowicz poprawując peruki.

VI

PRZYGOTOWANIA

Na zegarze w sieniach domu Złotowskiego biła jedenasta ranna, gdy z ganku wszedł powoli opierając się na lasce i poprawiając peruki Bałabanowicz. Twarz jego po wczorajszej wieczery nosiła ślady przepicia; miał sińce pod oczyma, a tam, gdzie czerwony trąd nie pokrywał policzków, żółta wyglądała bladość. Z wzrokiem wlepionym w ziemię, powolnie, cicho szedł ku tak zwanemu pałacowi i zamyślony głęboko kwadrans ocierał nogi na słomiance, potem spojrzął na zegar i powoli otworzył drzwi do sali. Na palcach po płótnie przeszedł ją i z cicha skradał się do pokoju pani. Chrząknął wreszcie.

– Kto tam? – ozwała się pani Dorota...

– Bałabanowicz.

– Proszę waćpana.

Otworzył i wszedł pan komisarz, a naprzód przywitawszy panią obejrzał się i uspokoił, gdy ujrzał, że Anny nie było w pokoju.

– Cóż tam słychać? – zapytała podkomorzyna zdejmując z nosa okulary i chowając je do futerała, odsuwając karty, otwierając tabakierkę i częstując go tabaką, którą on z przyzwoitym uszanowaniem wzięwszy, zażył, kichnął i uklonił się, a potem wyprostowawszy, odpowiedział zwyczajem dawnym:

– Nic dobrego, pani.

– Przecież, co tam robisz?

– Kazałem młócić po folwarkach, ale zboże nadzwyczaj nie umłótne.

– Tak to u nas zawsze – odpowiedziała podkomorzyna – dawniej jeszcze nimeś waćpan przybył tu, choć nie uregulowane były majątki, ale intratniejsze!

– Lepsze bo to były czasy! – rzekł komisarz silniej poprawując peruki i zaraz dołożył:

– Byłem wczoraj z sędzią u naszego konkurenta.

– No! no! i cóż tam?

– Zamyślają tu zjechać w niedzielę i oświadczyć się.

- Doprawdy! – zawołała porywając się podkomorzyna – tak prędko?
- Tak uprojektowali sobie. Ale z respektem winnym pani, jużby warto pomyśleć o tym.
- O czym?
- A o tym konkurencie.
- Wszakżeśmy już myśleli?
- Warto by się naradzić o intercyzie...
- Ja myślę tymczasem oddać im Dorotyńki. – Bałabanowicz pod trądem pobladł, udawał jednak zupełną spokojność.
- Jak się podoba pani – rzekł – w istocie to nawet majątek nieinratny. Ale jeszcze nie uregulowany i jak się w cudze ręce dostanie...
- Myślisz Bałabanowicz, że pan Mateusz nie potrafiłby sobie z nim dać rady?
- A zapewne, młody człowiek! Potem widzi pani, co innego kiedy jeden zaczyna i jeden kończy, co innego...
- Już ja to rozumiem – odpowiedziała chodząc po pokoju podkomorzyna. – Ależ przecie muszę coś dać siostrzenicy?
- Samo z siebie. Ale mnie się z respektem zdaje, że jakby pani wyznaczyła jaką sumkę, na co się pani ma wyzuwać?
- Masz rację Bałabanowicz, a jakąż by sumkę?
- Na przykład pięćdziesiąt tysięcy złotych, to umiarkowany posag, jaki zwyczajnie się daje. Wszystkie tu panny w okolicy nie mają nad pięćdziesiąt tysięcy.
- Masz rację, ale z jakichże by tu pieniędzy?
- Można by dać oblig na panu radcy...
- Bardzo niepewny.
- Jużciż, niepewny, a wszakże siostrzenica weźmie wszystko po pani.
- Masz racją Bałabanowicz; tymczasem...
- Tymczasem...
- Niechby sobie dochodzili tej sumy. Wyprawę można policzyć na trzydzieści tysięcy.
- Większą część zostawiła na to ś.p. siostra moja a matka panny Anny.
- Tego w intercyzie nie ma potrzeby kłaść, czy matka, kto tam o tym wie. Reszta wyprawy ułatwi się za tysięcy dziesięć, a w intercyzie zapisze się złotych osiemdziesiąt tysięcy. To jest znaczna suma.
- Masz rację, Bałabanosiu! A która to wybiła?
- Pół do dwunastej. Tak tedy – powiadasz – powtórzyła po chwili podkomorzyna, pięćdziesiąt tysięcy, a trzydzieści wyprawa?
- Zapewne, mnie się zdaje, że to będzie dosyć – odpowiedział komisarz kręcąc na łbie perukę. Jeśliby zaś pan sędzia, jako przyjaciel obu stron, proponował pani jakie odstępstwo i zrzeczenia się którego folwarku na rzecz siostrzenicy, niech pani odpowie, że ona i tak weźmie wszystko. A w istocie na co się pani wyzuwać ze wszystkiego od razu? stare to przysłowie, którego z respektem nie chcę powtarzać przy pani, co powiada, że póty się zalecają, póki co czują.
- Jakby od razu wzięli majątek, potem by jeszcze na starość, której daj Boże doczekać (mądry Bałabanowicz jeszcze ją kładł w czasie przyszłym i nie bez przyczyny) pani sama była na ich łasce. Ja co tyle lat służę temu domowi i wszystkiego szczęścia mu życzę, nie radzę, abyś pani od razu po siostrzenicy wiele dawała, niech się zasługują. W intercyzie też nie ma potrzeby kłaść żadnej obietnicy zapisów, niech się zasługują, powtarzam, a tak pani zostaniesz swojej woli panią, a oni będą musieli dependować i szanować.
- Bardzo ci dziękuję za te rady Bałabanowicz – odpowiedziała podkomorzyna – masz racją, masz racją, niech się zasługują!

– A niech pani z nimi w pisma nie wdaje się żadne, kto to wie; jeszcze by podejść mogli; to się zdarzało. Ale jeśli co dadzą do podpisania, to pani weźmie niby do rozpatrzenia i wprzódki mnie zakomunikuje.

– Masz rację, bardzo ci dziękuję, Bałabanosiu, a nie odjeżdżaj proszę w niedzielę, żebyś był na podręczu, gdybym cię potrzebowała. Podobno to już południe? he?

– Właśnie bije dwunasta.

– Czemuż to nie dają obiadu? – I tu zadzwoniła pani Dorota; wpadła Aniela służąca rozczochrana i przestraszona.

– Czemu nie dają obiadu? Gdzie panna Anna? pewnie już do swego ogródka zaczyna chodzić? Toć to jeszcze nie wiosna! Posłać po nią! A gdzie pieski? Żolka pewnie gryzie w sali nogi od stolika. Panie Bałabanowicz, musiałeś ją wypuścić nieuważnie...

– Nie, pani, dalibóg nie!

– Gdzież Żolka? hej, poszukajcie Lamurka! A dawajcie do stołu!

Tu się dał słyszeć dzwonek na dziedzińcu zwołujący wszystkich ludzi na obiady; Jan otworzył drzwi i rzekł:

– Do stołu dano.

– Proszę waćpana, panie Bałabanowicz.

Po czym mierzonym krokiem podkomorzyna, uwiesiwszy kluczyki u pasa, poszła wiodąc za sobą Bałabanowicza do sali jadalnej, położonej przez sień z drugiej strony domu i ozdobionej starymi obrazami rodzinnymi, kredensem, to jest ogromną starą szafą za szkłem, wielką ilością krzeseł trzciną wyplatanych i biało-olejno malowanych. Drzwi do połowy zamurwane z boku, służyły starym zwyczajem do podawania potraw z kuchni przynoszonych, jak to dziś jeszcze w refektarzach⁴² klasztornych widzieć można.

Już zasiedli do stołu, gdy Anna wywołana z ogródka weszła do sali cała zadyszana, zarumieniona i spodziewająca się już niechybnej burzy.

– A waćpanna – odezwała się pani Dorota – nigdy się nie możesz do porządku przyzwyczaić. Jak to można zapomnieć o dwunastej i obiedzie. Zawsze trzeba posyłać za tobą, szukać, to dla panny wcale niepięknie. Gdzieżeś waćpanna była? – W ogrodzie.

– Cóż teraz można robić w ogrodzie, jeszcze ziemia nie rozpuściła zupełnie. At! byleby tylko latać i swawolić.

Podany rosół dalszy ciąg uwag zatrzymał.

Po obiedzie pan Bałabanowicz pożegnał panią, która wedle zwyczaju pół godziny sypiała, a Anna przez ten czas obowiązana była utrzymywać policję⁴³ nad psami, aby snu jej nie przerywały. Za ledwie przebudziła się podkomorzyna, zegar drugą wybił; jak gdyby coś sobie przypomniła, zaczęła niespokojnie się oglądać, zażyła tabaki, utarła nosa, zawołała psy i raz wraz spozierając na Annę zdawała się chcieć zawiązać rozmowę.

Anna nie widząc tego rozmyślała po cichu płacząc i łzy swoje kryjąc starannie.

– Chodź no waćpanna tu! – Taki był początek przemowy, na której głos zadrżała dziewczyna domyślając się czegoś nadzwyczajnego i niepomyślnego.

– Waćpanna wiesz – rzekła po cichu podkomorzyna – że się o nią stara pan Mateusz?

– Ja tego nie wiem – odpowiedziała cicho Anna.

– Jak to?

– Nikt mi o tym nie mówił.

– Aleś to widzieć mogła.

– Nie uważałam, aby dla mnie szczególniejszą okazywał grzeczność.

– A, bo to się mnie należy – rzekła podkomorzyna. – Jakże się on aspannie podoba?

– On się mnie wcale nie podoba.

⁴² refektarz (z łac.) – sala jadalna

⁴³ policja (z łac.) – tu użyte w znaczeniu staropol.: porządek

– Co? Jezu Chryste! Co? on się aspannie nie podobał, aspanna śmiesz to mówić?!
 – Wszakże ciocia mnie spytała?
 – Ale nie spodziewałam się tak głupiej, bezwstydnej odpowiedzi. Aspanna więc myślałaś i rozważałaś, i zastanawiała się nad tym?
 – Tylko w tym momencie.
 – Ale jakże aspanna śmiesz to mówić? Czy nie wiesz, co powinnaś na zapytanie ciotki twojej i dobrodziejki w takim razie odpowiedzieć?
 – To co myślałam, sądziłam...
 – Aspanna nie powinnaś myśleć! Powinnaś była odpowiedzieć: jeśli wolą jest cioci, żeby mi się podobał, to podobał mi się, jeżeli nie, to nie...
 Siostrzenica milczała. Ciocia ciągle zażywając tabaki gderała.
 – On się o aspannę stara i w niedzielę ma się oświadczyć, ja go akceptuję⁴⁴ i rozkazuję podobnie uczynić! Spojrzała na Annę. Anna stała łzami zalana.
 – Czegóż to, aspanna, płaczesz?
 – Ach, ciociu! – zawołała Anna padając jej do nóg – nie zmuszaj mnie, abym szła za niego. Ja będę z nim nieszczęśliwa!
 – Słyszałaś! a toż co? Aspanna pozwalasz sobie rezonować⁴⁵! Skądże to wiesz, że będziesz z nim nieszczęśliwą? A to także coś osobliwego! Aspanna jesteś bardzo zuchwałą! Pójdź precz Żolka, precz mówię, Żolka! Aspanna więc jesteś rozumniejszą ode mnie, kiedy myślisz, że to, co ja zrobię, nie będzie z twoim dobrem. Słyszana to rzecz: jaja mędrsze od kur! Otóż to owoce modnej edukacji! Pójdź precz, Żolka! A nie pójdziesz?
 – Ja nie chcę iść za mąż – cicho mówiła dalej Anna – ja wolę zostać przy cioci i pielęgnować ją w starości.
 – W starości! cóż to, czy ja jestem stara? A toż to co? Aspannie się pomieszało w głowie, rozum straciłaś.
 – Ja wolę pójść do klasztoru...
 – Aspanna nie masz do wyboru; to zrobisz, co ja każę! Jeszcze sobie pozwala mieć swoją wolę i wybredzać! Tego chcę, tego nie chcę! Ja jestem twoja dobrodziejka i opiekunka, mnie twoi rodzice ciebie oddali i powinnaś mi być posłuszną. Idź, aspanna, do krosien! No, cóż to są znowu za łyzy? Idź sobie, idź! Żolka, precz z kanapy, niepoczciwa suka!
 To mówiąc mocno rozgniewana podkomorzyna wzięła karty i okulary, siadła przy stoliku i zaczęła kłaść kabałę, Anna już się więcej nie odezwała, ale płakała nad robotą. Ciotka kładnąc kabałę spoglądała na nią ukradkiem i ruszała ramionami zacisnąwszy usta.

VII

ZARĘCZYNY

W niedzielę paradnie poubierani pan sędzia i Mateusz zajechali do kościoła, wkrótce po nich zatoczyła się też stara karetka podkomorzyny, w której siedziała ona, Anna i służąca Aniela. Po sumie i kazaniu przy wyjściu z kościoła, submitowali⁴⁶ się nasi dwaj panowie podkomorzynie, która ich raczyła na obiad zaprosić.

⁴⁴ akceptować (z łac.) – przyjmować, zgadzać się

⁴⁵ rezonować (z franc.) – rozumować; tu: mądrzyć się

⁴⁶ submitować (z łac.) – tu: witać się

Od dawna już sąsiedzi czegoś się domyślali, lecz ten ostatni Wypadek: strojny ekwipaż⁴⁷ sędziego i Mateusza powóz sześciokonny, czułe z podkomorzyną u drzwi kościelnych powitania, spuszczone oczy Anny, a wreszcie chodzące już głuche wieści urodzone z bąków, które po pijanemu na jarmarkach strzelał Bałabanowicz, potwierdziły domysły. Wszyscy zajęli się tym mocno, jedni ciesząc się z wesela, drudzy ubolewając, nad losem panny, trzeci przecząc złośliwie: ci ostatni należeli do kategorii odprawionych z kwitkiem przez podkomorzynę.

U proboszcza, dokąd parafianie zbierali się zawsze na przekąskę i plotki, o tym tylko była mowa. Każdy swoje wiadomości drugim komunikował, szeptano, śmiano się, ruszano ramionami i dzięki nowemu przedmiotowi, zabawiano dłużej nad zwyczaj w plebanii. Wypili dwa razy więcej wódki i zjedzono mnóstwo chleba z masłem, wędzonych kiełbas i sera z kminem.

Tymczasem karetka podkomorzyny i powozy sędziego i Mateusza wtoczyły się w dziedziniec Złotowski. Było już po południu, zatem obiad gotów i i m m e d i a l e⁴⁸ usiedli do stołu, Rozmowy były nudne, sztywne i bez duszy jak mieszkańcy Złotej Woli; dopiero gdy podkomorzyna przebudziła się i weszła do sali, z całą paradą nastąpiło wobec panny Anny oświadczenie.

Podkomorzyna ze wszelką przyzwoitością i powagą, ani spojrzawszy na Annę, oświadczyła panu Mateuszowi, że go przyjmuje. Zostawało mu tylko podziękować: upadł więc do nóg, jak należało, pani podkomorzynie p r i m o l o c o⁴⁹, następnie panie Annie. Anna była milcząca, blada i łzami zalana, przez cały czas słowa nie wyrzekła; ale gdyby był na nią spojrział konkurent i umiał czuć albo uczucia cenić, byłby się przestraszył. Łatwo poznać było w niej ofiarę, która w milczeniu przyjmuje nieszczęście, chociaż je widzi strasznym.

Naznaczono zaręczyny za tydzień i polecono panu Mateuszowi sprosić swoich znajomych, byleby nie więcej nad osób dwadzieścia; podkomorzyna ze swojej strony miała także niektórych sąsiadów listownie wezwać.

Anna wybiegła z pokoju, gdy pan Mateusz odjeżdżał; załamała rękę i padła na łóżko. Ciotka zaczęła ciągnąć kabałę.

– Jak uważam – rzekł sędzia wsiadając do powozu – panna coś nie bardzo temu rada, miała minę przybitej!

–A, zachciałeś⁵⁰ – odpowiedział Mateusz – jeśli się boi mnie, to tym lepiej. O miłość jej nie stoję, będę ją miał i bez niej. – Te wyrazy wymówił tak przykrym głosem, że sam sędzia wzdrygnął się słysząc je.

– Jednakże, pozwól sobie powiedzieć – rzekł z cicha – iż jesteś obowiązany uszczęśliwić ją i starać się, żeby jej z tobą dobrze było: tak przynajmniej powszechnie mówią.

– Ja ją biorę dla siebie, nie dla niej – odpowiedział z brutalskim akcentem Mateusz – Co mi do tego, czy będzie szczęśliwą!

– Bierzesz ją więc jak cielę na kuchnię...

– Nie inaczej – zawołał śmiejąc się Mateusz.

– A jeśli ona z tą myślą idzie za ciebie?

– Sprobuję, kto z nas silniejszy.

– Ty widzę gotujesz się do walki?

– Całe życie jest walką, a ten mądry, kto zwycięży, i nikt go nawet nie spyta, jakim sposobem.

Gdy tych słów domawiał, sędzia umilkł i mocno się zamyślił.

– Jest to głęboko zepsuty człowiek – rzekł sobie – biada tej kobiecie! Ha! cóż robić!

⁴⁷ ekwipaż (z franc.) – powóz luksusowy

⁴⁸ immediale (łac.) – wprost, bezpośrednio

⁴⁹ primo loco (łac.) – najpierw

⁵⁰ zechciałeś (starop.) – gadanie! a jakże! a jużci

W istocie sędzia, acz bez żadnych zasad, nie był jeszcze do tego stopnia zepsutym i egoistą, żeby miał poklaskiwać panu Mateuszowi. Zląkł się go nawet trochę i począł żałować, że się z nim wdał. Pan Mateusz widząc się już u celu i nie potrzebując sędziego mało zważał na jego milczenie w drodze i tak zajechali do Brzozówki.

W Złotej Woli tymczasem czyniono przygotowania do uroczystego obchodu zaręczyn; we dwa dni całe sąsiedztwo częstowało się nowiną.

- Wiesz, że pan Mateusz się żeni?
- Któż by nie wiedział!
- Czy jesteś proszony?
- A jakże.
- Ten łotr? to osobliwsze małżeństwo!
- Mówią, że sędzia najwięcej mu pomógł.
- Bałabanowicza także ujęli!
- O, to filuty⁵¹ pierwszej próby.

Inni użalali się nad Anną, mianowicie zaś kobiety, przewidujące łatwo los, który ją czekał. Dobre to przysłowie: *w i e d z a s a s i e d z i, j a k k t o s i e d z i!* Znali wszyscy pana Mateusza, jako człowieka bez żadnych zasad, egoistę przestraszającego; żadna najuboższa nie byłaby się odważyła pójść za niego, tak był w opinii publicznej okrzyczanym za domowego tyrana.

Familie obrażone odmówieniem ze strony podkomorzyny nie chciały się znajdować na zaręczynach i najsrożej szarpały urąganiem nowo składające się stadło.

Ciotka zaś, tak obojętna dla Anny jak wprzód, choć wiedziała, że jej to zamążpójście było przykrym, nie uważała na to wcale w przekonaniu, że po staropolsku dzieci nie mają swojej woli, tylko rodziców lub opiekunów, którzy za nich obowiązani są myśleć, czuć i przewidywać. Przesadzone wyobrażenia o posłuszeństwie, które od młodu wpojone miała, nie mogły się pogodzić z oporem Anny, acz tak bojaźliwie jej okazanym: miała to podkomorzyna za rodzaj chwilowego obłąkania. Anna jak człowiek, który doszedł kresu niebezpieczeństwa i nieszczęścia, po łzach wkrótce odrętwiała na wszystko i obojętnie już, przeraźliwym⁵² okiem rozpaczy patrzyła na przygotowania zaręczyn i wesela, gdyż wesele odbyć się miało w kilka tygodni, a niezbyt wspaniała wyprawa panny młodej, łatwo się na ten czas ukończyć mogła.

Przyszedł dzień zaręczyn. Była to uroczystość po staropolsku wystawna, pełna ceremoniału, ukłonów, komplementów, wykrzykników, cyfer, wiwatów, pijatyki itd., ale w gruncie smutna. Anna wedle zwyczaju strojna bardzo, była blada, milcząca i oczy tylko napuchłe, czerwone, zwiastowały o walce, jaka się w niej odbywała. Ta postać smutna przykrym sposobem odbijała od ceremonialnej wesołości wszystkich i szalonego humoru pana Mateusza.

Ciotka jak zawsze prosta, sztywna, pilnująca przyzwoitości wyglądała na swojej kanapie jak stare malowidło z ram wyjęte i na chwilę podżywione, ruszające się, choć nieżywe.

Bałabanowicz w kącie pił za sukcesy młodych państwa, a spode łba poglądał na podkomorzynę. Sędzia chodził smutny i milczący. Reszta sąsiadów zbiegła się z tą jastrzębią ciekawością, z tą chciwością plotek, obaczenia czegoś nieprzyzwoitego, dowiedzenia się tajemnicy, złapania jakiejś śmieszności, która tak panuje na wsi. Wszyscy oni zdawali się chodzić tylko i szukać po kątach, żeby mieli jutro o czym gadać i śmiać się. Mrugali na siebie, szturchali się, czynili sobie uwagi i już w myśli oblizywali się na mające wyrosnąć plotki. Ani teraz nawet pan Mateusz nie zbliżył się do Anny, ledwie ją przywitał, ledwie ją w rękę pocałował, przy zamianie pierścieni; potem wmieszał się do młodzieży i ufając temu, że go podkomorzyna nie dojrzy, puścił sobie cugle, tak długo zmuszony w tym domu grać, jak mówił, rolę sensata⁵³.

⁵¹ filut (z franc.) – spryciarz, oszust, krętacz

⁵² przeraźliwy – tu; przerażony.

⁵³ sensat (z łac.) – człowiek bardzo poważny

Z powodu tej wielkiej uroczystości, porządek życia w Złotej Woli, tak surowie utrzymywany, na dni kilka się przewrócił, co niezmiernie podkomorzynę martwiło, która wzdychała za powrotem do pokoju i regularności. Tłum gości, przygotowania do ceremonialnego obiadu, zwichnęły całkiem panią Dorotę. Bolało ją to najmocniej, że wiele osób nie dość na nią wzgląd miało i zdawało się jej poważnej osoby nie widzieć; każdy bowiem poszukał sobie stosownego towarzystwa i bawił się, jak mógł. Przy biednej Annie siedziały panny i młode mężatki więcej zajęte jej strojem niż losem. Niektórzy z mężczyzn grali w karty, inni rozmawiali po cichu. Część męskiej kompanii paliła fajki na ganku: tu był i pan Mateusz, którego ciekawe otaczały postacie.

Był to naprzód długi, suchy, ospowaty, prosto trzymający się, jakby kij połknął, literat powiatowy, jeniusz sąsiedztwa, pan Kunasowicz. Ten mówił tylko górnymi słowami, gesta miał teatralne, fizys⁵⁴ z wyrazem tragicznym i wiecznie błąkał się po n i w i e uczuć i n i e b i e wspomnień; dodajmy do tego, że nie znał pisowni i szkół nie skończył.

Za nim siedział myśliwy z profesji, otyły rubacha, który, o niczym nie myślał, tylko o brzuchu i o polowaniu.

Dalej satyryk powiatowy, który miał przywilej bezkarnie ze wszystkich żartować, niedowarzone swoje koncepta co chwila po głowach puszczać i w oczy nieprzyjemne rzeczy wszystkim mówić. Był on także jednym z gastrolatrów, to jest czcicieli żołądka, których sekta tak w naszym kraju jest pospolita.

Potem byli jeszcze: powiatowy medyk, który wszystkich traktował L e r o y⁵⁵; powiatowy stryjaszek, dobry sobie głupiec, z którego drwił, kto chciał; powiatowy skąpiec, do którego kieszeni wszyscy się uciekali o pieniądze, agronom, co na 24 pola podzielił swoje łany i miał już merynosy, wreszcie ksiądz wikary, który się tym odznaczał, że śpiewał przy gitarze i fajkę palił.

Ci ichmoście wiedli ciekawą rozmowę, której ułamek pozwólcie sobie udzielić:

Ksiądz wikary puszczając kłęb dymu do powiatowego stryjaszka. *Pan fajki nie pali?*

Stryjaszek. *Na piersi mi szkodzi.*

Skąpiec. *I na kieszeń.*

Medyk, *I na żołądek, bo żołądek...*

Literat. *O jakiejże nieszlachetnej części ciała, panowie, wszczęliście rozmowę?*

Gastrolatry. *Co ten plecie?*

Agronom. *Moje olejne rośliny bardzo dobrze prosperują.*

Literat z westchnieniem. *Ten znowu o olejnych roślinach. Zaiste nie ma teraz ludzi, którzy by o czym wznioślejszym pragnęli umysły zetrzeć. Ja w prawdziwej żyję pustyni, nie pojęty, nie zrozumiany, jak palma, która niszczy w piaskach dalekiego suchego morza dzikiej Arabii!*

Satyryk-gastrolatr. *Co ty tam mruczysz? a wiesz ty, że masz minę śledzia na rożenku?*

Pan Mateusz do sąsiada. *I prawda to, że się pan Alojzy o moją narzeczoną starał?*

Sąsiad. *Najistotniej.*

Pan Mateusz. *Ale cóż za Śmieszny człowiek, że teraz tu przyjechał!*

Sąsiad. *Zapewne był ciekawy zobaczyć Wpana.*

Pan Mateusz. *Smutna ta ciekawość.*

Literat głośno do skąpca. *Pańskie oblicze zwiastuje jakiś szwank na zdrowiu.*

Skąpiec. *Ja jestem całkiem zdrów.*

Medyk. *Dawno ci radzę wziąć Leroy.*

Literat. *Zaiste nie każdemu z śmiertelnych zdolne jest to lekarstwo przywrócić drogie a najszacowniejsze z darów niebios zdrowie.*

⁵⁴ fizys (z grec.) – twarz, wygląd, powierzchowność

⁵⁵ Leroy d'Etiolles (zm. 1860) sławny chirurg; tu: lekarstwo stosowane przez niego.

Ksiądz wikary. *A niejednegośmy po nim pochowali.*

Literat. *Smutny to, lecz pełen zasług stan, który wam duchownym nakazuje stawić się na głos cierpienia od kolebki do mogiły.*

Gastrolatry. *A dadzą tam wieczerzę? Jeść się tego już chce!*

Przynajmniej żeby wódki i przekąski podali.

Ksiądz wikary. *Jak się ma W Mosci ogierek?*

Sąsiad. *Zdrów już zupełnie.*

Gastrolatr. *Patrzaj no, co to za piękna dziewczyna?*

Wszyscy prawie: *Gdzie? gdzie? gdzie?*

Literat. *O cóż to za ludzie, których lada piękność ziemską znikoma tak zajmuje!*

Wzdycha...

VIII

WESELE

Równie uroczyste było wesele, które Anna łzami oblała. Zdawszy się na wolę Bożą, szła do ołtarza jak ofiara, milcząca, zimna, modląc się tylko w duszy, bo mimo tylu przeciwności nie postradała ufności w Bogu, którą słabsi ludzie tak prędko za pierwszym cierpieniem tracą.

A naprzód zmieniły się bardzo miny pana Mateusza i sędziego, gdy do intercyzy przyszło. Tu pokazało się, że Bałabanowicz albo nic nie zrobił, bo nie chciał, albo że nie mógł. Rad nie rad pan Mateusz musiał milcząc a klnąc w duszy przyjąć pięćdziesiąt tysięcy posagu, a trzydzieści w wyprawie i jeszcze oprawę⁵⁶ żonie w podobnejże sumie na swoim majątku zmuszony został uczynić. To mu zupełnie humor popsulo, byłby się cofnął, gdyby sędzia z jednej strony, z drugiej nadzieja późniejszych zapisów ciotki, nie trzymały go.

Powtórę łzawa postać panny młodej mimowolnie go dręczyła i była mu jakby ostrym wyrzutem, który porafił się dobić twardego egoisty serca.

– Jeśli taką będzie całe życie – myślał – wesołość mi będzie w domu!

Przygotowania do wesela były jeszcze wspanialsze niż do uczyty zaręczyn. Wielka liczba gości sproszona, muzyka z pobliskiego miasta, beczki wina i miodu dla czeladzi, cyfry, wystrzały nawet nie były zapomniane. Kucharzy kilku pocilo się nad sosami od tygodnia, po ryby posłano mil dziesięć, dwadzieścia po zwierzynę, czterdzieści po wina. W oczach podkomorzyny były to wielkie dobrodziejstwa dla Anny!

Wśród tej wrzawy chodziła ona blada, milcząca i nieprzytomna, a pan Mateusz zły i zmuszony gniew swój ukrywać siał ze złości. Sąsiedztwo gotowało się na zbieranie plotek z całych sił.

Z rana o godzinie jedenastej podpisano intercyzę, państwo młodzi już byli gotowi, ołtarz w kwiaty ubrany w sali jadalnej, kobierzec rozesłany, bukiety poprzyipinane, Poprowadzono ich prosić błogosławieństwa, z padaniem do nóg i tą czułą ceremonią zebrzącą życzeń pomyślności u najuboższych sług nawet, nawet u nędzarza.

Pan Mateusz odbywał to jak przechadzkę po pokoju patrząc W inną stronę; tylko tyle jeszcze był łaskaw, że nie świstał.

⁵⁶ oprawa – suma zabezpieczona żonie na majątku męża, a złożona z posagu żony i z kwoty równej temuż posagowi, jaką mąż przypisuje do wiana żony.

Stanęli u ołtarza: ksiądz wikary błogosławił; Anna odpowiadała po cichu, ale wyraźnie; pan Mateusz, jakby kogo łajał. Jeszcze ksiądz czytał nad nimi ostatnią modlitwę i miał wzywać przytomnych za świadków, gdy Anna wysilona długo tłumionym uczuciem zawołała:

– Ach! – zachwiała się, padła i zemdląca.

Trudno opisać, jak to wszystkich zmieszało; pani Dorota chciała być nieszczęśliwą, miała jej to za jakiś występki, pan Mateusz wzruszał ramionami, sąsiedzi szeptali, a kobiety jedno, co rozumiały położenie Anny, płakały. Wyniesiono ją z pokojów, mąż nie pobiegł za nią, lecz z mężczyznami na fajki, ciotka poszła wprawdzie, ale w intencji czynienia wyrzutów, skoro tylko siostrzenica przyjdzie do zmysłów.

Tymczasem szczęśliwi z podanej zręczności goście rozpierzchnęli się i tysiące powtórzyli z tego wypadku bajek i plotek. Nazajutrz powiadano o milę, że zemdląca, o dwie, że umarła, o trzy, że mężowi oczy wydarła, o sześć mil słyhać było, że się na weselu wszyscy potruili. Tak to im dalej, tym wspanialej zawsze rozchodzą się plotki nie słabnąc, lecz nabierając siły. O cudowna siła!

Nim uroczysty i ceremonialny obiad podano, wytrzeźwiono panią młodą, złożono mdłości na osłabienie pochodzące z choroby jakiejś i osadzono państwa nowopobranych na rogu stołu jedno przy drugim. Wszyscy uważali, że do siebie słówka nie przemówili przez cały ciąg obiadu. W czasie toastów i klaskania z biczów pod oknami podniosła się Anna i znów omdlała; przecież otrzeźwiono ją nie odprowadzając od stołu.

Pan Mateusz, czując, jakie z tych mdłości plotki i historie urosną, wściekał się ze złości; pani Dorota z tegoż samego powodu jeść nie mogła, sąsiedzi triumfowali, a mianowicie kategoria odprawionych z kwitkami przez podkomorzynę. Nareszcie późno już skończył się obiad, a goście czekając rozpoczęcia tańców porozchodzili się podochoceni dobrze winem, które Bałabanawicz im razem i sobie tak serdecznie dolewał, że w końcu obiadu runął pod ciężarem swoich obowiązków pod stół i nie powstał z placu boju aż nazajutrz.

Tańce rozpoczęły się od uroczystego polskiego, otwartego z panią młodą; po niej w drugiej parze szedł pan Mateusz z panią podkomorzyną, dalej cały ogon par chichoczących, szepcących, spozierających na siebie, kończący się drobnymi dziećmi wyprostowanymi mocno, ażeby się słuszniejsze wydawały.

Gdy się to dzieje w sali, tymczasem ksiądz wikary staropolskim zwyczajem z kropidłem i księgą idzie poświęcać łóżka. Już północ, a jeszcze tańczą jedni, piją drudzy, już po północy jeszcze trwa zabawa, już się na dzień zabiera, a pan Mateusz wyrывa się ukradkiem z sali i bieży do pokoju sypialnego.

Otworzył drzwi i zawołał na służbę:

– Podaj mi fajkę i szlafrok, i pantofle?

Spojrzał, obejrzał, obszedł, ale próżno, bo swojej żony nie znalazł. Rzucił ze złością rękawiczki i wyszedł z pokoju biegnąc do pani Doroty.

– Gdzież jest moja żona?

– Gdzie? Spodziewam się, że w sypialnym pokoju.

– Nie ma jej.

– Jak to nie ma? wszakże się rozebrała.

– Ale gdzież się podziała?

– Cóż to jest? w Imię Ojca! – zawołała pani podkomorzyna biegnąc do sypialni. Otworzyła drzwi, szukała okiem, zatrzaśła je za sobą i załamała ręce.

– Gdzież ona się podziała?

– Alboż ja mogę wiedzieć? – odpowiedział pan Mateusz szarpiąc na sobie suknie. Cichoż już z tym! Niech pani nie rozsyła, nie mówi! Ludzie by się śmieli...

– Ale co mi waść prawisz – rozgniona wołała pani Dorota, biegnąc – ja ją muszę znaleźć! To szalona dziewczyna: to kara Boska!

I tak dobrze wypytywała się o panią młodą wszystkich, że w kwadrans całe towarzystwo o jej zniknięciu wiedziało; młodzież śmiała się, starzy głowami kiwali, pan sędzia niemy siedział w kącie, a Mateusz zapaliwszy fajkę, położył się na łóżku klnąc ożenienie swoje i obiecując sobie wcześniej mścić się swojego wstydu na żonie.

Gdzie była Anna? Ona płacząc wybiegła na ogród do swojej altany i, mimo chłodu dopadłszy swojej ulubionej ławeczki, na której najrozkoszniej przedumała chwile, siadła, zaczęła płakać, na koniec zemdląła znowu osłabiona.

Słudzy z pochodniami rozbiegli się po ogrodzie, naturalnie stary ogrodnik poprowadził ich do ogródka Anny; znaleźli ją tam bez duszy leżącą i nie mogąc się dotrzeźwić, wnieśli bezprzytomną do sypialni. Tu ledwie otwarła oczy, ujrawszy ciotkę i męża osłabła raz jeszcze, tak że trudno się jej było docucić.

Pani podkomorzyna, która w życiu swoim nie doświadczała mdłości, chyba z niestrawności, krzyczała, że to są udawania, i szarpała biedną. Ledwie ją stamtąd potrafiiono wyprawić pełną gniewu i niecierpliwości, gdy już siostrzenicę zabierała się trzeźwić rękami. Został pan Mateusz, który również nigdy nie mdłał, a czytał *Spazmy modn*⁵⁷ i całe życie drwił z omdlenia wszelkiego rodzaju, stał jak posąg z szyderskim uśmiechem w ustach.

Gdy się sami zostali, on postawił fajkę i odezwał się do modlącej Anny:

– Dośćże już tego udawania, moja pani; dość tych łzów, mdłości i nabożeństwa. Ja nie jestem tak głupi, żebym temu wierzył. Bardzo fałszywe masz o mnie wyobrażenie, jeśli mnie bierzesz za jakiegoś sentymentalnego wariata. Uprzedzam panią od dziś dnia, że to ze mną nie uchodzi, że jestem srogi i bardzo srogi, i nie znoszę nieposłuszeństwa. Widziałem tysiąc razy podobne sceny i wiem, co one znaczą! cha! cha! Trafiałaś na człowieka, z którym trzeba rozumnie postępować i zaniechać tych niepotrzebnych czułości. Jesteś moją, chociaż widzę, że ci się to nie podoba; ale się stało i nie odstanie! Chcesz z mojej strony łagodności: bądźże posłuszną i zapomnij o mdłościach. Co ja, to długo nie zapomnę i nie daruję, żeś jest przyczyną tych plotek, tych baśni, .które od dziś dnia przyczepią się do nas.

Anna modliła się i klęczała, a gdy mąż kończył swoją szyderskim tonem daną naukę, ona powstała, podniosła ręce i cicho rzekła:

– Bądź wola Twoja!

IX

POŻYCIE. – BAŁABANOWICZ

Zdaje się, że z poprzednich czynności łatwo już odgadnąć cały charakter pana Mateusza. Był to, jakeśmy widzieli, egoista bez najmniejszego współczucia dla drugich, usposobiony po temu po części organizacją⁵⁸, po części wychowaniem i początkami życia. Pozbawiony także uczucia, które pospolicie zowiemy sumieniem, utrzymującego równowagę czynności ludzkich ze sposobem widzenia ich wewnętrznym, nie doznawał zgryzot nigdy, nie zastanawiał się nad tym, co czynił; siedł tylko za interesem swoim, a zmierzając do tego celu środków nie wybierał.

⁵⁷ *Spazmy modne* – tytuł komedii Wojciecha Bogusławskiego (z końca XVIII wieku) wyśmiewającej modny ówczesnie sposób okazywania delikatności uczuć przez częste omdlenia i szlochy.

⁵⁸ organizacja g a n g (z niem.) – chód zegara – tu: natura, ukształtowanie wewnętrzne

Niektórym pocziwym a prostodusznym ludziom wyda się to może przesadzonym, lecz niestety są tacy ludzie. Zakrywają się oni powierzchownością mniej więcej znośną, gdyż jakieś uczucie przyzwoitości nie pozwala im zupełnie obnażyć się przed ludźmi, chyba w ostateczności; w domowym pożyciu dopiero odkrywają się oni ze wszystkim. Tu samoluby nie chcąc sobie nawet zadać pracy ukrywania swego bezcennego charakteru, mało dbając o szacunek otaczających osób bezwstydnie okazują się im w całej szkaradzie swojej.

Tyrani domowi nie cierpią najmniejszego sprzeciwienia się swej woli, nie chcą uczynić najdrobniejszej ofiary z siebie, a wszystkim każą naginać się posłusznie przed sobą i służyć namiętnościom, chętkom, kaprysom. Tacy to jednak ludzie nieraz uchodzą w opinii za znacznych obywateli, surowych ojców familii, lecz sprawiedliwych i rozumnych; gdy w istocie są to zbrodniarze, którym do dopełnienia zbrodni większej brakło tylko okoliczności lub śmiałości: są bowiem tchórze jak wszyscy egoiści.

Takim był i pan Mateusz, a życie Anny z nim, nie wiem, czy nawet malować potrzeba. Któż nie pojmie, co to było za życie? Z jednej strony uległość, poświęcenia nieustanne, męczarnie; z drugiej nielitościwe wymaganie coraz nowych ofiar, znęcanie się, przemyślnie dręczenie. Egoiści mają w sobie coś z natury dzikiego zwierza, lubią męczyć i pojmują tę dla innych tak niepojętą rozkosz tyranizowania słabszych.

Mateusz im powolniejszą sobie, im uleglejszą, łagodniejszą widział Annę, tym sam bardziej się srożył, więcej wymagał i wszystko co czyniła, złym znajdował, dlatego tylko, żeby ganić. Nawet w sposobie odzywania się do żony miał pan Mateusz intencją męczenia, bo nigdy inaczej nie powiedział słowa, jak tonem albo rzeczą urągając się, szydząc, znęcając.

Dodajmy do tego, że wobec ludzi zmyślał czułość i wymuszał na żonie, żeby jej troski domowe maskowały się wówczas sukienką szczęścia. Przy gościach Anna musiała się uśmiechać, mąż przemawiał do niej z łagodnością, naprowadzał ją na kłamstwa i zmuszał do nich, bo biedna żona jakże mogła mu przeczyć? Tak na przykład chytry opisywał nieraz przy ludziach swoje szczęście domowe, zmyślał jakieś nie praktykowane czułości dla żony, wzywał ją na świadki jakiegoś wypadku całkiem niebyłego; a ledwie drzwi się za świadkiem obcym zamknęły, zapadała kurtyna, kończyła się komedia i zimny egoista wracał do naturalnej postaci.

Anna zносиła to jak anioł! Przekonawszy się, że uzalenie na cierpienia innego skutku nie sprawia, tylko podbudza jeszcze męża do wymyślania męczarni, milczała cierpiąc i nie wydawała, że cierpi. Ile razy pan Mateusz poznał, co jej niemiłym było, wysiłał się, żeby to stokroć powtórzyć i nasycić się jej męką. Anna więc chcąc sobie ulżyć musiała udawać zupełną na wszystko nieczułość. Z równą pilnością trzeba było kryć, co przyjemność czyniło, bo Mateusz nie omieszkałby zagrozić jej drogą co najmniejszych nawet rozrywek; rozważcie więc położenie tej kobiety i pojmijcie jej męczarnie.

W domu była ona tylko pierwszą sługą męża, a to pierwszeństwo nadawało jej przywilej smutny odpowiadania za wszystkich i wszystko. Cokolwiek kto źle zrobił, pani wszystkiemu była winna, pani za każdego odpokutować musiała. A jednakowo nic do niej nie należało, żadna część zarządu domowego, żadne rozporządzenie dochodów; nic a nic; najcięższe tylko, najnudniejsze a mało ważne czynności były jej udziałem.

Może być, że pierwsze chwile po weselu byłyby inną cokolwiek znośniejszą barwą przybrały, gdyby temu nie stanął na zawadzie zbieg okoliczności. A naprzód pan Mateusz, rozgniewany omdleniem żony i plotkami, jakie stąd wynikać mogły, już się nie krył z swoją niechęcią i gniewem, odkazywał się zemstą od pierwszego wieczora. Powtóre zawiódł się na posagu i choć to miał tylko za chwilową przeciwność, nie mając na kim, poszukiwał swego zawodu na żonie.

Ciotkę szanował i skarbił jej łaski w nadziei zapisów, o żonę zaś nie dbał wcale, wiedząc, że musi mu być posłuszną. Tak od pierwszych dni poczęły się męczarnie, które szydząc z czułości Anny z upodobaniem mąż jej zadawał. Gdy przybyli do Brzozówki, zapowiedział jej

dalszy ciąg życia, określił obowiązki i rozwinął niejako przed nią całą perspektywę nieszczęścia i udręczeń.

Anna nic nie miała, co by właściwie do niej należało, w domu woli, nawet w najmniejszej rzeczy. Jest to własnością egoistów, że rozwijając swoją wolę na jak najobszerniejszą skalę nie cierpią manifestacji jej w drugich z nimi żyjących. Anna nie mogła włożyć sukni, nie mogła wynieść z domu, nie mogła płakać nawet bez zezwolenia i sankcji pana Mateusza. Nielitościwy samolub mieszał się we wszystko, wtrącał się w każdą rzecz. Jeśli jechali w odwiedzin, dyktował jej strój, nakazywał minę, uczył ją co mówić miała, kształtował ją całkiem na swoje wyobrażenia.

Tak, oprócz wszystkiego, Anna jeszcze cierpieć musiała na tym, że się nawet taką, jaką była w istocie, okazać nie mogła. Nie podobna jest opisać szczegółów tego wymyślnego męczeństwa.

Los każdego sługi znośniejszym był od jej losu, bo w życiu z takim człowiekiem cierpienie rosło w stosunku zbliżenia, a nikt nie był ciągle bliższym poczwyry nad nią.

Anna wychowana religijnie, przywykła do delikatnego obchodzenia się, do zachowywania pewnych reguł przyzwoitości, nic znała nigdy całej szkarady, na jaką się wyuzdany zdobyć może człowiek; świat nie pokazał jej się nigdy w czarnej swej sukni, krwią i łzami zbrocznej, opity, chwiejący się, bezwstydnym; mąż zaś usiłował zabić w niej wszelki wstyd, wszystkie złudzenia, wszelką wiarę w cnotę starając się pokazać, że ludzie są zawsze interesowani⁵⁹, że wszyscy są tacy jak on.

Nie zważając na to, że ją tym kaleczył najdotkliwiej na wszystkich nadziejach, obnażał przed nią złą stronę świata, najgorszą stronę swoją i otaczających ludzi, pokazywał jej egoizm we wszystkich czynnościach, obłudę co krok, pracował nad jej zepsuciem gorliwiej, niż inni nad ukształceniem pracują. W tych szyderskich jego uwagach, których ona zmuszona była słuchać, wyprowadzał po jednym wszystkie wiary poetyczne, niewinne, dziecięce, oglądał je z urąganiem, rozbiierał, analizował, podstawił pod nie kontrasta i niszczył urok najśłodszy życia dowodząc, że złe jest prawdą, a cnota – fałszem.

Kiedy się ona ze łzami oburzała, on z uśmiechem nastawał nasycając się jej niewinnością walczącą z ziarnem złego rzuconym w czystą jej duszę. Tym sposobem nagle przedstawił jej Mateusz odwrotną stronę znajomego świata, czarną, plugawą, paskudną, jak on sam był; kazał jej wierzyć, że czysta i piękna strona życia istnieje tylko w wyobraźni i jest ułudną; lecz mimo swoich usiłowań, nie potrafił on wszczepić w nią wiary w zło i swojego piekielnego egoizmu. Poznawszy z jego nauk czarną stronę Anna wierzyła w białą i za sen, za omamienie brała plugawą rzeczywistość, którą on jej tak starannie dowodził.

Trudno powiedzieć, co miał w tym za cel mąż; był on spokojny o żonę i pewny jej cnoty, może więc dlatego, że swoim instynktem męczenia chciał ją tylko udrećzać zabijając w niej najśłodsze pociechy znajdowane w wierze i nadziei. Nie rachował wcale, jakie skutki wyniknąć by mogły z zepsucia jej, a w swojej nieubłaganej woli na wszelki przypadek miał ratunek, który zepsuciu nawet siły by nie dał objawić się uczynkami.

W pierwszych chwilach nic nie zrówna podziwieniu i zgrozie, jakie przejęły Annę, gdy się jej przyszłość, straszniejsza nad wszelkie okazała pojęcia. Jakkolwiek życie w Złotej Woli było przejściem osłabiającym wrażenie dawnych pieśzcot rodzicielskich, jakkolwiek ciocia przygotowała ją do nieczułości, do uległości i posłuszeństwa bez miary, pan Mateusz ze swoim cynizmem bezwstydnym zdał się z początku czymś tak dziwnym, że czasem sądziła w prostocie ducha, że to wszystko tylko się jej śniło.

Ciotka acz sroga, acz w domu nie cierpiąca drugiej woli, nie pojmująca uczuć innych, prócz uczucia bóleści żołądka i gniewu (amplifikacja)⁶⁰, była jeszcze i czułą, i najczulszą przy

⁵⁹ interesowani – tu: interesowni

⁶⁰ amplifikacja – rozszerzenie – tu: wyolbrzymienie faktów

panu Mateuszu, który z profesji w nic nie wierzył, czego nie mógł dotknąć, namacać i sam nie doświadczył.

I znowu jest egoistów przymiotem, że cały świat sądzą tak zbudowanym, tak uorganizowanym, jak oni sami; nie przypuszczają innego człowieka, tylko na obraz i podobieństwo swoje; ale to mają wspólne z głupcami pewnego rodzaju.

Tak na przykład pan Mateusz nie pojmował w żonie nabożeństwa i zwał je udawaniem, tak nie wierzył w litość i łzy, które miał za wymuszone, tak całkiem nie pojmował uczucia wstydu i możliwości poświęceń i wielu innych pięknych i potrzebnych uczuć. Nielitościwie wojując o to z żoną prześladował ją co chwila o pobożne westchnienie, o wstydlivy rumieniec, o grosz jałmużny itp. Najpospolitszym jego orężem było dotkliwe szyderstwo, którym instynktowie⁶¹ umiał tak kierować, że zawsze najboleśniej ranił.

Jak w Złotej Woli, tak tu Anna nie mogła nawet mieć przyjaciółki: tam oddalały od niej nudne ceremonie domu – tu znajome sąsiedztwo zepsucie i bezwstyd pana Mateusza. Bywał on wprawdzie wszędzie i wszyscy bywali u niego, ale ściślejszych stosunków nie miał z żadnym domem: kończyło się na zimnych raz w roku odwiedzinach. Mężczyźni zaś, którzy bywali u pana Mateusza zwyczajnie jego towarzystwo składali, byli to ludzie jak on zepsuci lub mający ochotę dopsuć się w obcowaniu z nim.

Dla tych nie miał on żony i zabraniał im pokazywać się Annie. Dzięki tej ostrożności miała ona przynajmniej wolną chwilę wówczas, kiedy oni męża jej zajmowali. Usuwała się gdzieś daleko, żeby śmiechów i rozmowy ich nie słyszeć, brała książkę, jeśli jaką znalazła, czytała lub myślała. Nieszczęśliwi dręczą się myślami, lecz lubią myśleć i zastanawiać się. Szczęśliwi nie mają na to czasu.

Na tyle nowych a całkiem nieznanym cierpień przybyła jedna tylko nowa pociecha biednej Annie. Mąż jej pojmując użyteczność talentów, a raczej potrzebę ich dla popisu przed ludźmi, dozwolił jej przypomnieć to, czego się dawniej uczyła, a w pół zapomniana w Złotej Woli. Sprawił jej fortepian i nakupił rysunków, rozumie się z warunkiem, żeby talentami swymi popisywała się przy gościach, nie dlatego bynajmniej, żeby nimi osłodzić jej życie.

Wszakże powrót do tych zatrudnień przypominających jej lata słodkie, dziecinne, a samych z siebie tak uprzyjemniających życie wielce je Annie osładzał. Mąż nie pojmował sztuki, nie umiał czuć muzyki, nie miał on na to zmysłu, który jest udziałem innej klasy ludzi, naśmiewał się równo z sentymentalnej muzyki i uczonej, ze śpiewów i koncertów, rozumiał jedne tylko pieśni pijackie, ale pozwalał grać żonie (byleby mu do snu nie przeszkadzała), a i to było dla niej dobrodziejstwem.

W domu Mateusza nie było już tego posłuszeństwa godzinom; tu godziny i ludzie słuchali woli pana, nieznośniejszej jeszcze, bo kapryśnej, niestałej i nigdy nie zaspokojonej. Życie w Brzozówce było wszystkim nieustanną tylko posługą, oczekiwaniem objawienia nowej żądzy ze strony pana. Anna, mówiliśmy już, była tylko pierwszą sługą, i odpowiedzialną za wszystkich, W początkach wszystkie te męczarnie stopniowo na nią spadające, któreśmy opisali wyżej, wprowadziły ją w okropne rozdrażnienie, niespokojność i obłąkanie prawie; lecz, gdy po dłuższym pobycie z mężem obawa jej zmieniła się w pogardę, mniej już cierpiała i przewidywała możliwość zniesienia takiej doli.

Sędzia, ten przyjaciel Mateusza, który tak pracował, aby go ożenić, wkrótce zgłębiwszy charakter jego usunął się ostrożnie. Nie pojmując wdzięczności pan Mateusz, który go już nie potrzebował, całkiem zapomniał o nim; natomiast przywiązał się do Bałabanowicza spodziewając się przez niego wyrobić u pani Doroty puszczenie jakiego majątku. Pan komisarz zawsze równie chciwy trunku dał się poić, dał sobie pochlebiać, obiecywał coś nawet, lecz w skutku nic nie robił. Pokorny, układny, kłaniający się, na pozór niedaleko widzący dawał się złowić, a potem jak piskorz się wymykał. Pan Mateusz nie mógł mu wymawiać, bo nie wcho-

⁶¹ instynktowie – instynktownie

dził nigdy z nim w żadne wyraźne układy; nie śmiał się mścić, bo się lękał jego wpływu na ciotkę i ze złością a wstydem wyznawał się w duchu oszukanym przez starego lisa.

Ten tymczasem rządził jak wprzód całym majątkiem pani Doroty, kradł niemiłosiernie, a co chwila nabierał nad starzejącą się podkomorzyną więcej przewagi, co chwila potrzebniejszym jej się stawał. Od czasu jak Anna wyszła za męża, Bałabanowicz zyskał był jeszcze u podkomorzyny, która teraz zupełnie sama nie wahała się nawet przypuszczać go do towarzystwa swojego i przez wzgląd na długie zasługi i trzęsące się nogi, wydała stanowczo pozwolenie siadania przy sobie w pokoju, wprawdzie z daleka i na brzeżku krzeselka – zawsze jednak był to postęp znaczny.

Kiedy Jan pierwszy tę nowość zobaczył, tak się tym zdziwił i przestraszył, że roznosząc nowinę cały dwór przewrócił, spóźnił się nawet obiad o pięć minut, a podkomorzyna na to nie uważała, zajęta rozmową. To wzbudziło nowe uwagi i podziwienie.

Bałabanowicz zawsze równie pokorny czując się pożytecznym z ludźmi nabierał rozkazującego tonu, a pani jeszcze słodziej pochlebiał dyktując, co czynić miała. Coraz częściej wzywany z oficyny do pałacu pan komisarz wreszcie cały prawie dzień tam już przesiadywał. Słudzy zaczęli szemrać i powiadali, że na swoje oczy widzieli w końcu grającego w maria-sza⁶² z podkomorzyną.

Wieść ta pędem błyskawicy rozeszła się po sąsiedztwie i najrozmaitszym plotkom powód dała. Byli tacy co rozumieli, że Bałabanowicz w końcu ośwładnie tak podkomorzyną, że nawet pieski powypęda z pokoju. Pan Mateusz słysząc o tym milczał, ale się lękał znając ludzi ze złej strony wszystkiego złego, o jakim by kto inny pomyśleć nie śmiał. Kryjąc się ze swoją złością, ujmował Bałabanowicza, osadził go szpiegami, którzy mu każdy krok jego donosili, a tajemnie gotował wielką machinę przeciw niemu. Przekupiwszy pisarza, który mu rejestra pisał, dostał ich kopię pan Mateusz, pozbierał dokumenta świadczące o ich fałszywości i cierpliwie wyglądał chwili, w której by mógł bez niebezpieczeństwa stanowczo uderzyć.

Czuł on, że trudna będzie walka z osobą tak uprzedzoną, jak pani Dorota, a przy tym tak ograniczoną i łatwowierną; rachował jednak wiele na jej skąpstwo, miłość porządku i pomoc sąsiadów, którzy mu przyrzekli świadczyć przeciw komisarzowi, na którego wszyscy prawie źli byli. Stary ani się domyślał spisku i z całą spokojnością człowieka złego, który się ostrożnie zabezpieczył od szwanku, postępując co dzień w łaski pani dumne roił nadzieje.

Ilekróć przy nim podkomorzyna wspomniała o Annie i Mateuszu, tyle razy zrećźnie tak ich umiał malować, żeby ku nim zniechęcić. Przygotowawszy zwolna panią Dorotę okazywać zaczął niewdzięczność pana Mateusza, który śmiał się uzalać, że oblig dany mu na radcy był bardzo niepewny; nastawał na to, że pan Mateusz nie wart był swego szczęścia itp. Pojmujęm tedy, czemu pani Dorota coraz ku niemu zimniejsza, ani dawała sobie powiedzieć, żeby mu co więcej po synowicy wydzielić miała. Do tego przywiodły ją insynuacje⁶³ Bałabanowicza, że żałowała, iż Annę wydała za niego, chociaż nie wiedziała o ich pożyciu domowym, ani wiedzieć chciała, ani wiedząc byłaby męczeństwo jej pojęła. Pan Mateusz nie domyślając się podstępów starego zbroił się przeciw niemu jedynie w widokach zagarnienia majątku, którego zarząd spodziewał się otrzymać. Gdy tak w milczeniu obaj się przeciw sobie gotują, nieprzewidziana okoliczność pomieszała szyki panu Mateuszowi i w chwili, kiedy już miał zadać cios śmiertelny, wytrąciła mu z rąk oręż.

⁶² mariasz (z franc.) – rodzaj gry w karty

⁶³ insynuacja – fałszywe oskarżenie

X

DOPIAŁ SWEGO

Był to wieczór, w pokoju pani podkomorzyny paliła się na stolicy⁶⁴ świeca pod umbrelką⁶⁵, psy spały na poduszkach, jejmość włożywszy na nos okulary i odebrawszy młódki⁶⁶ zasiadała do mariasza z Bałabanowiczem, który utarłszy nosa i zwinąwszy chustkę w naleśnik przysuwał sobie poufale krzeselko. Zegar w sieniach bił siódmą, służba była w kuchni, a Jan tylko jeden zasypiał na ławce i marzył o Anieli.

– Dziwi mnie to, Bałabanosiu – rzekła ciotka rozdając karty – że pan Mateusz tak rzadko i coraz rzadziej bywa w Złotej Woli.

– Co pani chce – odpowiedział biorąc karty plenipotent – ten człowiek najniewdzięczniejszy! nie umie on szanować pani i wygląda tylko co najrychlej sukcesji!

– Masz racją Bałabanosiu, może to być – rzekła podkomorzyna – ale tak się ułożyło, tak to udawało konkurując, jakby co pocziwego; ty sam byłeś za nim.

– Prawda to pani – rzekł Bałabanowicz po cichu – ale teraz mnie nie oszuka. Widzę ja go przez skórę jak drży niewdzięczny i wyciąga ręce po dobro mojej dobrodziejki, którego ja jak oka w głowie strzegę. Ach! – dodał wzdychając – to mnie boli, że się to wszystko temu człowiekowi dostanie.

– Masz racją, Bałabanosiu – ze czterdziestu! Dałam ci dublę⁶⁷! Ale cóż na to poradzić.

– Co? ja tego nie śmiem pani powiedzieć?

– Przecież, mój Bałabanosiu?

– Prawdziwie, że tego nie potrafię powiedzieć – lękam się.

– Nie bój się niczego.

– Pani mogłabyś pomyśleć o zamążpójściu!

– W imię Ojca! Czyś ty oszalał?! A toż to pięćdziesiąt i...

– A kto tam lata liczy! – odpowiedział prędko przerywając plenipotent. A pani podstolina poszła za męż w siedemdziesięciu, a pani szambelanowa miała ich pewnie sześćdziesiąt, kiedy po trzeci raz zawarła śluby! Wiadomo pani, że nie wiek starym czyni, ale niezdrowie. Dzięki Bogu, pani czerstwa jak rydz, zdrowa jak rybka i nie wygląda na trzydzieści.

– Pleciesz, Bałabanosiu, pleciesz; kto by zaś chciał się o mnie starać?

– I wielu by się takich znalazło! Pani...

– Pochlebnik z ciebie...

– To by dopiero była fimfa⁶⁸ dla pana Mateusza – mówił Bałabanowicz – bo on tak już jest pewny sukcesji, że rad by moją dobrodziejkę, choć dziś, widzieć na marach!

– Ach! cóż to za szkaradny człowiek, mój Bałabanosiu

– Szkaradny, pani! szkaradny! a chytry jak wąż! On to i mnie stara się ułagodzić próbując, czy przeze mnie nie trafi do pani; ale mnie nie przekupi! Spędziwszy tyle lat mam przywiązanie i wierność nienaruszoną dla tego domu i dałbym się zarznąć za moją dobrodziejkę!

– Pocziwy Bałabanosiu! bądź pewien mojej wdzięczności! Pocziwy!

– On tak tylko czyha, że wcześniej już porobił układy o dobra, które po pani na nich spaść mają.

⁶⁴ stolica – tu: stolik

⁶⁵ umbrelka (z łac.) – zasłona na lampę

⁶⁶ młódki – tu: karty do gry o mniejszej wartości

⁶⁷ dubla (z franc.) – stawka podwójna

⁶⁸ fimfa lub finfa (z niem.) – obraza – tu: nieprzyjazny żart

- Czyż to być może?
- Tak jest! Wiem ja to z dobrych źródeł, całe sąsiedztwo wie o tym. Rad bym szczerze, żeby mu pani odjęła nadzieję i wyszła za męża.
- Masz rację, Bałabanosiu, ale właśnie to takie czasy, żeby kto chciał konkurować o mnie.
- Staruszka składała to na czasy, w istocie pochlebiała jej myśl podana, ale próżno szukała sobie w głowie pary, nikogo znaleźć nie mogła. Po trzeci już raz dawszy dublę, odezwała się:
- Mówiłeś, Bałabanosiu, że wiele by się takich znalazło, co by chcieli konkurować o mnie, a powiedzże mi choć jednego.
- Przyciśnięty argumentem a d h o m i n e m⁶⁹ Bałabanowicz, chociaż przygotowany był nieco do tego pytania, sam nie wiedział, jak na nie miał odpowiedzieć; jednakże nie zmieszany tak zaczął:
- Znam ja jednego.
- Powiedzże mi, Bałabanosiu! Któż to taki? – zawołała krygując się podkomorzyna. Któż to taki, zmiłuj się?!
- Nie wolno mi się z tym wygadywać – odpowiedział ostrożnie plenipotent.
- Ale zmiłujże się, któż to taki – z nową natarczywością zagadnęła pani Dorota.
- Kto, nie mogę powiedzieć, ale go opiszę – rzekł wywijając się zręcznie Bałabanowicz, Jest to człowiek średniego wieku.
- Średniego wieku! Któż tu jest średniego wieku?
- Przyjemnej postawy...
- Przyjemnej powiadasz?
- Dostyc przyjemnej. Człowiek znany z uczciwości.
- Z uczciwości! Któż by to taki?
- Szlachcic, chociaż bez tytułu.
- Bez żadnego tytułu?
- Bez żadnego, ale o tytuł łatwo.
- Masz rację, Bałabanosiu, jednakże...
- Może go mieć na przyszłych sejmikach.
- Niechże go ma.
- Człowiek majątny, który, by mógł pokazać parę kroć czystego funduszu.
- Parę kroć! a to dość! – zawołała podkomorzyna – myśmy się dorabiali z podkomorzym, a on i tego nie miał, kiedy się ze mną żenił. Ale któż to taki, mój Bałabanosiu?
- Chciałbym szczerze dogodzić w tym jej woli, ale żadną miarą nie mogę – odpowiedział stary rozkładając karty.
- Mogłabyś się pani na mnie i na niego gniewać...
- Ale za cóż, mój Bałabanosiu? – Która to wybiła? – Pół do ósmej...
- Dopiero pół do ósmej! Któż to taki?
- Prawdziwie, że nie mogę powiedzieć, bo się...
- Bo co...
- Bo – ale się to odkryje.
- Ale ja chcę o tym zaraz wiedzieć!
- Podkomorzyna była nagła, a Bałabanowicz wahając się jeszcze rozkładał i składał karty, wykręcał perukę, wreszcie powstał, odstawił krzesło, otworzył usta i rzekł:
- Ten konkurent, o którym mowa, jestem ja! – To mówiąc upadł podkomorzynie do nóg, która ze strachu upuściła karty, porwała się, odsunęła i zawołała:
- Ty śmiałeś?! To ty! ty!

⁶⁹ ad hominem (łac.) – skierowanym do własnej osoby

– Ja – odpowiedział Bałabanowicz na klęczkach – ja śmiałem!! Całe życie zbierałem fundusz, żeby go złożyć u nóg mojej dobrodziejki z ofiarą serca i wierności długimi latami do-wiedzionej, którą, która – której...

Tu mu wątku nie stało, a podkomorzyna, przywykła do posłuszeństwa, walczyła z sobą nie-wiedząc, co począć.

– Jeśli mnie najnikczemniejszego sługę swego odrzucisz, pójdę i zagrzebię się na pustyni – rzekł.

– Ale na cóż na pustyni, Bałabanosiu? – zmiękczona szepnęła podkomorzyna – ale skądże ci ta myśl przyszła?

– Karmię ją od lat dziesięciu!

– W istocie?

– To była jedna⁷⁰ moja nadzieja.

– A ja o tym nic nie wiedziałam! Ale ty mówiłeś o parę kroć funduszu?

– Ja go mam pani...

– Skądżeś ty to wziął?

– Z posesji.

– Masz rację Bałabanosiu! A gdzież szlachectwo?

– Ja go mam.

– Ale to być nie może...

– Mam wywód dokumentalny...

– To być nie może! to być nigdy nie może – mówiła podkomorzyna jakby sama do siebie – ty tyle lat byłeś sługą moim.

– I zawsze nim będę, do śmierci...

– Na cóż śmierci, Bałabanosiu! Ale skąd ci taka myśl przyszła?

– Ja sam nie wiem, pani.

– Wstańże już, wstań, ludzie by mogli nadejść, nie klęcz dłużej. Cóżes ty powiedział? to by całkiem pomieszało porządek, to by było nieprzyzwoitym...

– Tyle podobnych bywało przykładów, że...

– Nigdy bym się tego nie była spodziewała! – mówiła ciągle podkomorzyna, jakby sama do siebie i zdjęła okulary, odsunęła karty, chodziła zamyślona. Bałabanowicz stał jak na wę-glach.

– Nie chcę ja mówić za sobą – przerwał po chwili, ale przypomniałbym pani niewdzięcz-ność tego pana Mateusza, którego warto ukarać...

– Masz rację... jednakże! Co by to ludzie gadali!

– Ludzie by mówili, żeś pani dobry wybór zrobiła, wypróbowanego i zaufanego człowieka i nagrodziłaś wierne usługi...

– Powiedzże mi, jak ci to na myśl przyjść mogło?

– Ja sam nie wiem! Ja nie wiem, ale jeżeli pani nie przyjmiesz ofiary, ja...

– Tylko mnie nie strasz, Bałabanosiu...

– Ja jutro zdaję rachunki i idę...

– Dajże pokój! wszakci to tego tak obcesowo robić nie można! Ja się muszę namyśleć, ja muszę to rozważyć! prawdziwie, kto by się to był spodziewał! No, no! już co osobliwość, to osobliwość, mnie iść za męż. Toć nie takam ja stara i na niego. Hm! mówi, że szlachcic i z funduszem! hm, hm, taki zawsze ludzie będą gadali! on! on, kto by się to spodziewał!

To mówiąc siadła pomieszana podkomorzyna, a plenipotent uczuł, że w niego duch wstę-pował i już dobrze wróżył sobie: pierwsze lody były złamane, zostawało rozumnie rzecz do-prowadzić do końca. Ale to go nie przestraszało, znał on dobrze swoją panią i wiedział, że gdy jej da do wyboru pójść za niego lub całkiem go porzucić, pewnie na pierwsze się zgodzi.

⁷⁰ jedna – tu; jedyna

Tak tego wieczora przygotowawszy, następnych Bałabanowicz przywiódł ją do dania sobie słowa, wystawił konieczność uczynienia sobie zapisów wzajemnie dla oka na krocich kradzionych, ułożył dożywocie i potajemnie wszystko gotował do ślubu. Wkrótce z indultem⁷¹ w kieszeni jednego wieczora zaczął naglić podkomorzynę o wyznaczenie szczęśliwego końca swoim konkuirom i tak ją usidlił, że zezwoliła na niezwłoczny ślub, który się odbył w sali przy dwóch tylko zaufanych świadkach. Nazajutrz całe sąsiedztwo wiedziało niesłychaną nowinę, rozwożono ją umyślnymi posłańcami od domu do domu, przyjaciele podkomorzego byli w nieopisanym oburzeniu na zuchwalca, inni śmieli się do rozpuku z nowego stadła, inni wyciągali dziwaczne wnioski zabijając podkomorzynę na sławie, inni jeszcze temu nie wierzyli.

Trudno wszakże było wątpić, bo Bałabanowicz zmieniwszy nagle ton i sposób postępowania, ze sługi stał się panem, wniósł się do pałacu i zaczął się jak szara gęś rządzić.

Wnet Złota Wola inną całkiem powierzchowność przybrała, a eks-podkomorzyna postrzegła wkrótce, że wielkie zrobiła głupstwo; ale już było po czasie. Bałabanowicz zebrawszy wszystkie klucze do swojej kieszeni pół dnia pijany nawet do mariasza swojej dobrodziejce służyć nie chciał. Porzuciwszy posesję, swoje konie, stada i remanenta przeniósł do nowego mieszkania i, jak gdyby jej na świecie nie było, zapomniał o żonie, która myślała, że się świat do góry nogami przewrócił, gdy nagle znalazła się tak małą, postradawszy swobodę i wszelakie znaczenie w domu.

XI

BIEDNA CIOTKA

Na kominie palił się ogień trzaskający, okna pozapuszczane już były sztorami, świec jeszcze nie dano, a pan Mateusz rozciągniony na szezłagu palił fajkę spokojnie. W drugim pokoju słyhać było cichy chód kobiecy, chód ostrożny, bojaźliwy, pokorny, bo i chód bywa oznaką uczuć lub charakterów, dla tych, co się nad nim zastanawiać zechcą. W całym domu panowała ta posłuszna spokojność, która znamionuje przytomność surowego pana: wszyscy chodzili na palcach, mówili cicho, drzwi zamykali ostrożnie.

– Cóż tam pani tak дума? – zapytał Mateusz żony – czy nie wolno by wiedzieć?

– Czego chcesz? – odezwała się żona z cicha pokazując się we drzwiach drugiego pokoju.

– Chciałbym wiedzieć, jeśli wolno, nad czym pani tak дума! Zapewne o jakim nieszczęśliwym kochanku!

– Znasz mnie nadto, żeby ci potrzebowała odpowiadać na to – rzekła kobieta.

– Właśnie, że znam, to myślę, że chyba o kochanku tak długo z westchnieniami думаć można, bo pewnie nie o mnie...

– Myślałam o Bogu i o sobie...

– Co za pobożność! – śmiejąc się rzekł Mateusz i na chwile zamilkł, a potem znowu świsnąc dodał:

– Ta suknia nadto szeleszcze, zrzuć ją i włóż inną; nie cierpię tego szelestu sukni...

Anna poszła suknię odmienić. Pan Mateusz ciągle leżał i fajkę palił; zaledwie usłyszał powracającą żonę, wysłał ją do kuchni dojrzeć wieczerzy i połajał za głośne drzwi zamknięcie.

⁷¹ indult (z łac.) – zwolnienie przez władzę duchowną z obowiązującego przepisu kościelnego

Tymczasem ogień przygasać zaczął i ciemno robiło się w pokoju, gdy drzwi powoli skrzypiąc się otwały i ktoś ocierając nogi wszedł.

– Któż tam? to pewno ten bałwan Franciszek! – zawołał, – Po jakiemu to wchodzisz do pokoju? Nie. mogłeś nóg otrzeć w ganku? Po co tu przyszedłeś?

– A ślicznieś mnie przywitał! – odezwał się głos jakiś w ciemności, który prędko poznał pan Mateusz i powstając przeproszał.

– Przepraszam cię, mój sędzio, ale tu tak ciemno! Jakże się miewasz! Hej! jest tam kto? Niech podają świece! Tak dawnośmy się nie widzieli!

– Prawda, że dawno – rzekł sędzia – a tyś już całkiem o mnie zapomniał; pókim ci był potrzebny...

– A dajże pokój wymówkom, mój sędzio; wszakże znasz świat i ludzi! Cóż chcesz, to powszechna reguła! Któż chowa na pamiątkę łupiny smacznego owocu, chyba dzieci?

Wniesiono świece, sędzia usiadł milczący.

– Cóż tam słyhać, stary przyjacielu?

– Przypominasz mi – odpowiedział przybyły – żem do ciebie przyjechał z bardzo złą nowiną...

– Co? ze złą nowiną?

– Tak, z najgorszą jak być może...

– I ta mnie obchodzi?

– Najbardziej...

– Mówże, sędzio – zawołał przestraszony Mateusz – i nie cedź po słówku, bo to chyba dobre nowiny po kropelce dawać się powinny, a złe trzeba łykać jak lekarstwo.

– Nie mam siły powiedzieć ci o tym.

– Cóż? umarł kto? Nie bój się, ja się niczyją śmiercią nie zmartwię. Cóż to jest? nie dręczże mnie!

– Podkomorzyna... poszła za męża!

– Co?! co?! Za męża poszła! A toż co? to bajka! sędzia żartuje sobie ze mnie; za kogóż? Ja tego nie pojmuję, to chyba mistyfikacja⁷²!

– Najprawdziwsza prawda – odpowiedział sędzia spokojnie – wiem o tym od wikarego, który za indultem ślub dawał. Wczoraj wieczór błogosławił ją i Bałabano...

– Bałabanowicza! Bałabanowicza! tego łotra! – wrzasnął okropnie pan Mateusz! Ona poszła za tego szubienicznika! to być nie może! Ktoś z ciebie zażartował, panie sędzio! To chyba trzeba nie znać podkomorzyny. Ona, co tak wysoko ceni przyzwoitość, miałyby pójść za swojego sługę!

– Pokazuje się, że wyżej ceniła pana Bałabanowicza niż wszelkie przyzwoitości, kiedy się to stało.

– W tej chwili weszła Anna, a mąż ją powitał:

– Zgadnij, co ci mam powiedzieć, moja pani?

Anna milczała.

– Śliczną na Boga nowinę! Śliczną. Twoja ciocia zacna dobrała sobie parę i poszła za Bałabanowicza! Witam siostrzenicę pani Ba-ła-ba-no-wi-czo-wej!!! A ślicznieżem się ożenił! ślicznie! pięćdziesiąt tysięcy nędznego posagu, żona głupia, a w dodatku połączenie z rodziną Ba-ła-ba-no-wi-czów!!

Do trzysta diabłów, sędzio, tyś to mnie w to uplatał, bodajesz kark skrzył! Gdyby nie ty, ja bym był nigdy się nie starał o Annę, niechby była gnła w Złotej Woli, nie byłbym się o nią pokusił. Jeszczem rok męczył się starając o ten kawał słupa! prawdziwie pięknie wyszedłem teraz z twojej łaski, sędzio!

⁷² mistyfikacja (z łac.) – wprowadzenie w błąd, oszustwo

Żona postyszawszy te słowa uciekła do drugiego pokoju, sędzia namarszczył się i siedział, a wreszcie rzekł:

– Nie ciągnęłam za kark waszeci.

– Aleś mi pomagał – odpowiedział Mateusz –. gdyby nie ta przeklęta twoja pomoc, byłbym się starać wolał o tę głupią poczwarę panną Żegotównę! Kara Boża na mnie! Zawiązać sobie świat i tak szkaradnie, tak głupio! To trzeba umrzeć ze wstydu!

Pan Mateusz mówiąc to przechadzał się po pokoju w największym gniewie.

– I zapewne – dodał – zapisała mu majątek?

– Tak powiadają.

– A, żeby był to mógł przewidzieć, byłbym go struł jak psa! – zawołał Mateusz. – Pięknieś mnie, sędzio, wykierował.

– Miałaś swoją wolę...

– A kto mnie kusił, kto mi radził, kto mi pomagał? Ty, panie sędzio! Ha! potrafię się pomścić i na tym łotrze Bałabanowiczu. Pierwszy raz gdzie go spotkam, każę go moim ludziom zbić kijami w pół śmierci. Kto by się był tego spodziewał! Ona! ona! prędzej bym uwierzył, że ja zgłupieję! Ale ty siedzisz, sędzio, a tu potrzeba szukać rady, tu potrzeba mnie ratować: ty masz obowiązek.

– Cóż chcesz, żebym teraz zrobił?

– Czy ja wiem! Ale ja muszę! Ja muszę się bronić, ja nie dam sobie sprzed nosa porwać majątku, dla którego się ożenił!

– Radbym wiedzieć, co poradzisz?

– Ja mu uformuję proces, ja dowiodę, że podkomorzyna nie miała prawa rozporządzać majątkiem, że ma pomieszane zmysły!

– Ale podkomorzyna jest zupełnie przytomna.

– Któż przytomny takie głupstwa robi? To być nie może, ja to zburzę, ja to wywrócę! Inaczej, na cóż by się zdało moje ożenienie...

– Miejże litość nad żoną – rzekł sędzia – ona cię słucha!

– Ja jej to sto razy na dzień w oczy powtarzam! Dla niej to nie nowina, ja lubię być szczerym...

– Bez takiej szczerości wcale by się obeszło...

– Sędzio, ja cię proszę o radę, ty mnie strofujesz? – Sędzia wziął za czapkę i rzekł:

– Bądź zdrow!

A nim pan Mateusz miał czas go zatrzymać, on już wyszedł. Zostawiony sam sobie samolub pasował się ze swymi myślami, przywołał żonę, żeby ją dręczyć i na nią gniew swój wyrzeć, kazał bić sługi, łątał wszystkich i całą noc przepędził w tym szaleństwie.

Biedna Anna nie widząc co począć, a przewidując nowe udręczenia już tylko w modlitwach o śmierć prosiła; lecz śmierć nigdy proszona nie przychodzi. Tymczasem pan Mateusz nie tracąc nadziei zdezonizowania Bałatanowicza osadził Złotą Wolę płatnymi szpiegami, kazał sobie donosić o pożyciu nowych małżonków i wkrótce z radością dowiedział się, że Bałabanowicz nie dość dobrze obchodził się z podkomorzyną, która żałować zaczęła swego zamażpójścia.

– Jeśli tak! to moja wygrana! – rzekł w duchu – ale poczekajmy jeszcze trochę.

Jakoż nie omylił się w rachubach; nie upłynęło wiele czasu, ciotka skarżyć się zaczęła, całe sąsiedztwo wiedziało o tym, pan Mateusz najpierwej. Czekał jeszcze i doczekał się tego, że ucisk, którego biedna podkomorzyna doznawała, doszedł do najwyższego stopnia, a ona sama znosiła od pijanego męża niesłychane obelgi. Słudzy, którym dość dobrze było pod panowaniem zegara, wniebogłosy krzyczeli pod nowym panem, tym dotkliwiej uciemniającym ich, że sam niegdyś był podwładnym i mścił się swego dawnego poniżenia.

Pan Mateusz czekał jeszcze i doczekał się chwili, w której jego postępowanie mogło uchodzić za bezinteresowne. Upatrzawszy porę szukał sposobu widzenia się z ciotką, której od jej

zamążpójścia nigdzie nie mógł spotkać, bo w Złotej Woli zakazano mu bywać, a w Brzozówce ani Bałabanowicz się nie pokazał, ani żonie tam jechać pozwolił.

Wypadł jakoś jarmark w miasteczku pobliskim, a który Bałabanowicz dawnym swoim zwyczajem pojechał. Przewidujący wszystko pan Mateusz nasadził tam na niego Żydów i kilku szlachty zalecając im, żeby go spolił i do dwóch dni nie wypuszczali. Gdy mu wreszcie znać dano, że już Bałabanowicza nie było, on sam konno udał się z jednym tylko człowiekiem do Złotej Woli.

Miało się ku wieczorowi, gdy stanął u bramy ogrodu i tu porzuciwszy konia pieszo szedł ku domowi. Znajome mu były wszystkie zakątki, łatwo więc trafił do pokoju biednej eks-podkomorzyny.

Nie ta to była już pani Dorota, którąśmy na początku powieści widzieli. Starsza się zdawała o lat dwadzieścia, zgarbiona, wychudła, trzęsącą, suknie na niej w nieładzie, pieski ulubione powypędzane nie dotrzymywały już towarzystwa. Zamyślona, z usty sinymi i wpadłymi siedziała i patrzyła przez okno! talia brudnych kart leżała porozrzucana przed nią.

Gdy we drzwiach ukazał się pan Mateusz nie poznała go, aż się odezwał pokornie.

– Jak się ma ciocia?

– Pan Mateusz?! tu?!

– Cóż dziwnego? dawno bym tu już być powinien!

– Jak to? to ty się nie gniewasz na mnie?

– Ja? a za cóż miałbym się gniewać...

– Wszakże ty chciałeś mojego majątku? czyhałeś na niego, życzyłeś mi śmierci?

– Ja! to chyba Bałabanowicz mógł mówić.

– Właśnie.

– Alboż nie miał w tym swego interesu; ten niegodny zwodziciel?

– Ach! nie mówże tak o nim! to mój mąż!

– A jednak jest to najniepoczciwszy człowiek. Myśmy ubolewali nad losem cioci, ale cóż mogliśmy począć? I dziś z największą ostrożnością wkradłem się tu widząc, że go nie ma w domu, dla niczego więcej, tylko, abym okazał, że nie byliśmy chciwi i niewdzięczni, jak nas odmalowano. Ten człowiek zdradzał ciocię, oto są na to dowody.

Tu pan Mateusz rejestra⁷³ dawno przygotowane rozłożył, na które eks-podkomorzyna le-dwie okiem rzuciła.

– Cały jego majątek – mówił dalej – jest zebrany szachrajstwem i kradzieżą. On to jest niewdzięczny i chciwy, on ciocię przywiódł do tego poniżenia, do poczynienia sobie zapisów, do wyzucia się ze wszystkiego, myśmy o to się nie starali nigdy.

– To prawda, moje serce, ale cóż chcesz, on jest moim mężem.

– Ale ciocia cierpisz od niego!

– Skądże o tym wiesz?

– Ja wiem wszystko, wiem, jak w domu panuje, jak się ze swoją dobrodziejką obchodzi! Przyszedłem nawet, abym proponował cioci przeniesienie się do naszego domu, gdzie będziesz panią, szanowaną, kochaną.

– Ale jakże to być może?

– Skoro ciocia się na to nie zgodzi, dziś wieczorem konie będą przed gankiem, on jutro dopiero powróci. Wiem, że zapisy, które mu poczyniła ciocia nie są w aktach, znajdują się tylko w oryginałach w biurku przy jego łóżku; ja je zniszczę, jutro rozpocznę proces i ciocia wróci do majątku i swobody!

Biednej eks-podkomorzynie w głowie się kręciło słuchając tych obietnic, a myśl oswobodzenia uśmiechała się do niej, Przywykła jednak całe życie słuchać Bałabanowicza, nie poj-

⁷³ rejestra (łac.) – w dawnej Polsce księgi sądowe; tu; wykazy, spisy

mowała, żeby co przeciw niemu uczynić było można i nie śmiała zgodzić się na przedstawienie pana Mateusza, który drżał z niespokojności.

– Ale to ci się zdaje, to być nie może! on tak jest ostrożny! – odpowiedziała.

– Ja zaręczam, że tak będzie – odpowiedział szybko pan Mateusz. Gdzie jest klucz od jego pokoju? – Ciocia dająca się powodować łatwo, odurzona tonem pana Mateusza rozkazującym i przekonującym odpowiedziała:

– On go zawsze nosi przy sobie.

– A nie ma drugiego podobnego?

– Ten może przyjdzie⁷⁴ – rzekła cicho skazując⁷⁵ na drzwi. Pan Mateusz, który rad był co najprędzej wszystko ukończyć i lękał się przypadkowego powrotu Bałabanowicza pochwycił klucz z zamka i szybkim krokiem pobiegł do jego pokoju nie zważając, z jakim podziwieniem wszyscy ludzie na niego patrzali.

Klucz otworzył – i pan Mateusz wpadł do przybytku starego skąpca, w którym on jeden tylko gospodarował i nikogo więcej nie puszczał. Była to najosobliwsza graciarnia. W kącie stało brudne, nie posłane łóżko, spod którego wyglądały butelki wypróżnione i pełne, na ścianach wisiała uprząż stara i parę strzelb popsutych. Podłoga zawałona była gratami bez nazwiska i kształtu, kilka kufrów pełnych tam i sam stało, a na nich leżały jeszcze części odzienia, skóry i żelastwo. Różnego rodzaju obuwie wałało się po kątach i izbie: buty, pantofle, trzewiki, kalosze.

Na oknach były flaszki z lekarstwami dla koni, maście, słoiki ze szrutem⁷⁶ i prochem, sznypry⁷⁷ i podkowy połamane. W głowach łóżka stał kantorek, którego szukał pan Mateusz i ku któremu chciwie poskoczył. Z siłą, jakiej dodaje wola, oderwał od razu stare próchniałe wieko, sięgnął do szufladki i pakował papiery w kieszeni, a pakiet starannie w chustkę od nosa owinięty włożył na piersi, potem zatrzaskał biurko, zamknął pokój i pośpieszył do ekspodkomorzyny, która go w największej niespokojności oczekiwała.

– Teraz – rzekł wchodząc – zapisy są w moim ręku, każę zaprzęgać i pojedziem. – Zawołał na sługę.

– Cztery konie do karety w ten moment!

Sługa się wahał.

– Słyszysz! w ten moment – krzyknął pan Mateusz – inaczej nauczę posłuszeństwa!

– Ale jakże ja mogę wyjechać? – rzekła drżąc ciotka – to być nie może!

– Chcesz ciocia męczyć się z nim i spokojnej nawet nie mieć starości, dlatego że ten bezecny człowiek uwiódł ją, podszedł i zdradził, dlatego że jesteś jego żoną? Maszże go szanować i być mu za to wdzięczną? Ja jestem w sprawie i obowiązku oswobodzenia jej!

Tak mówiąc wyglądał niespokojnie oknem, czy powóz nie zachodził, a ciotka ubierała się posłuszna w drogę nie mając siły, do oparcia się.

Nareszcie zaturkotała kareta, a pan Mateusz podał jej rękę.

– Radzę zabrać pieniądze, obligi⁷⁸ i precjoza⁷⁹ – rzekł – zda się to na proces, a ten bezecnik przez zemstę mógłby papiery poniszczyć, a resztę przywłaszczyć.

– Ja nic nie mam – odpowiedziała ciotka...

– Jedźmyż! – rzekł pan Mateusz. Wyprowadził ją w ganek, podał rękę do karety i siadłszy już wychylił głowę do ludzi, którzy się ciekawie zebrali byli na ganku.

⁷⁴ ten może przyjdzie – też może będzie się nadawał

⁷⁵ skazując – tu: wskazując

⁷⁶ szrut – śrut

⁷⁷ sznyper – puszczać, narzędzie do puszczenia krwi

⁷⁸ oblig (z włosk.) – skrypt dłużny, przyznanie należności na piśmie

⁷⁹ precjoza (z łac.) - kosztowności

– Słuchajcie, moi kochani – rzekł – pilnujcie domu, a gdy jutro przyjedzie tu pan Bałabanowicz nie dawajcie mu się tu rozporządzać z niczym i nic stąd zabierać. Nie macie potrzeby słuchać go, taki jest rozkaz pani, nie pozwalajcie mu nic stąd zabierać. Ruszaj! – zawołał do furmana – do Brzozówki co konie wyskoczą, masz dukat na piwo!

Kareta zniknęła w tumanach pyłu, a zdziwiona tą nagłą przemianą. służba z rozdartymi gębami długo stała na ganku.

– To coś nowego – rzekł Jan – ale wszakże gorzej nam nie będzie, jak jest: dziej się wola Boża! No! niechże teraz Bałabanosio powróci, oddam ja mu za swoje!

XII

ZEMSTA PANA JANA

Nazajutrz wieczorem Jan siedzący w ganku ujrzał w lipowej Ulicy bryczkę pana Bałabanowicza, którą poznał po szpakowatych koniach i podniósł się z radości na ławce, a potem usiadł znowu i zażył tabaki mówiąc do siebie:

– No, chwała Bogu! jedzie.

Już bryczka minęła bramę i zatoczyła się przed pałac, a Jan zwykle pokorny nawet z ławki nie wstał na przyjęcie pana.

– Cóż to! – zawołał wysiadając trochę napiły Bałabanowicz – czemu, hultaju, nie wstaniesz, kiedy widzisz, że przyjeżdżam? słyszysz?

– Któż to taki waćpan jesteś, że takim tonem mówisz?

– Oszałał czy co?! – krzyknął z gniewem eks-plenipotent. – Hej! jest tam kto? związać go i wsadzić do ciupy! Co to jest nikogo nie ma?

Spojrzał w ganek; tu stali wszyscy dworscy, ale z pozakładanymi w tył rękoma i uśmiechem na ustach. Jan spokojnie zażywał tabakę i mówił powolnie:

– Ot lepiej, Bałabansiu, nie udawaj pana, a zażyj tabaki.

I podał mu tabakierkę, którą ten pięścią uderzywszy wytrącił mu z rąk. Nie pojmując, co się z nim działo, Bałabanowicz przywykły do posłuszeństwa osłupiał.

– Cóż, nie znacie mnie? – zawołał – ale ja się dam wam poznać! Hej, wójta! stróżów!

Nikt nie słuchał. Bałabanowicz nie wiedział, co począć, obracał się, kręcił i na dobitkę słyszał jeszcze dokoła szyderskie śmiechy służących. Oburzony chciał iść do żony, ale Jan mu drogę z flegmą zastąpił i rzekł:

– A dokądże to idziesz?

Bałabanowicz go popchnął, a ten oddał sownie.

– Gdzie jest pani? – odezwał się drżący i nieprzytomny.

– Cha! Cha! – rzekł Jan – już się nie poskarżysz na nas! mądrześ ty, ptasiu, ją okiełznał, ale znalazł się mądrzejszy od ciebie.

– Co to jest? co on gada? cóż się stało?

– No! no! zażyj tabaki i siadaj po staremu, a nie udawaj pana, to ci powie, mój gilu.

– Nie ma jejmości!

– A gdzie się podziała?

– Pojechała do Brzozówki.

– Do Brzozówki! – I Bałabanowicz porwał się za głowę. – Sama! sama pojechała?

– O nie, z panem Mateuszem – odpowiedział Jan spokojnie.

– A skądże się wziął tu pan Mateusz?

– Przyjechał i zabrał panią.
 – W Imię Ojca i Syna. To być nie może, tyś pijany, hultaju!
 – Znowu się zapominasz – rzekł Jan – daj pokój i nie udawaj pana. Każ sobie konie zaprzęgać i ruszaj stąd!
 – Ja, stąd?
 – Taki jest rozkaz pani!
 – Pani to śmiała powiedzieć? To kłamstwo, to intrygi pana Mateusza, ale ja go nauczę. Pani by mogła dać taki rozkaz?!
 – A kiedy ty mogłeś panią po pijanemu łajać, kiedy ty mogłeś ją wypychać i odgrażać się bić, mogła cię ona stąd wypędzić. Kwita z byka za indyka⁸⁰! – rzekł Jan.
 – Ale to mój majątek! to wszystko moje!
 – Fiu! fiu! jakiś mi bogaty! Kłaniam się jaśnie wielmożnemu panu! A nie można by wiedzieć, czy to kupione, czy darowane?
 Pan Bałabanowicz nic już nie słuchając darł się przez sługi do swego pokoju, puścili go wprawdzie, ale Jan z tabakierką szedł za nim poważnie i kiwał głową.
 – Chodźcie za mną, chłopcy – rzekł na innych.
 Wszyscy słudzy potoczyli się za Janem.
 Eks-plenipotent dopadł drżąc z gniewu, podziwienia i strachu drzwi swojego pokoju, otworzył je i pędem pobiegł do biurka; zobaczył je odbite, papiery zabrane; załamawszy rękę upadł na łóżko.
 Jan, który tego wszystkiego był świadkiem, poważnie odezwał się:
 – A cóż, Bałabanosiu, nieprawdaż, że jest ktoś mądrzejszy od ciebie?
 Bałabanowicz jak zbity milczał. Jeszcze raz zerwał się, szukał po szufladach i znowu zgrzytnął zębami ze złości.
 – No, widzisz, że nie masz tu co robić – mówił mu Jan – ruszaj sobie z Bogiem. Adieu! Pisuj do mnie na Berdyczów!
 To mówiąc wyprowadzał eks-plenipotentą, który bezprzytomny wychodził z izby, a na progu jakby sobie coś przypomniał, raz jeszcze cofnął się i zaczął czegoś szukać w łóżku.
 Jan wszystko to uważał i chwycił go za rękę, gdy chował do kieszeni woreczek spory pieniądze.
 – To moje! to moje! – wrzasnął przeraźliwie Bałabanowicz pasując się z nim – to moje!
 – Nic tu nie ma twojego, stary złodzieju – rzekł Jan, zapalając się; – trzech groszy nie ma twoich!
 – Na miłość Boga! to moje! – krzyczał, jakby go ze skóry Odzierano, skąpiec oboma rękami chwytając się woreczka.
 – Złamanego szeląga stąd nie wyniesiesz – odpowiedział Jan spokojnie z pomocą sług wyrywając się mu. – Jedź, jak stoisz, i to jeszcze łaska, że ci konie dam, bobyś powinien bosso, o kiju, jak przyszedłeś, powędrować! To mówiąc rzucił woreczek w biurko, wypchnął Bałabanowicza, drzwi zamknął, klucz do kieszeni schował i dał znak sługom, żeby go ku gankowi skierowali.
 Mimo woli zgrzytając zębami ze złości wypędzony Bałabanowicz pobiegł do stajni, siadł na bryczkę i wkrótce Jan zażywając tabakę w ganku ujrzał go znowu w lipowej ulicy.
 – Jedź z Bogiem, a nie wracaj! – mówił – krzyżyk ci na drogę, Bałabanosiu!
 A słudzy radzi zemście śmieli się do rozpuku. Napuszony stary Jan powydawał surowe rozkazy, nakręcił zegar w sieniach i poszedł zamknawszy pokoje, rozstawiwszy wartowników na gawędkę do kuchni, jak zwykł był czynić za spokojnych czasów od lat dwudziestu. Wkrótce tak było cicho w Złotowolskim dworze jak niegdyś za pani podkomorzyny i wszyscy weszli w dawne karby.

⁸⁰ Kwita z byka za indyka! (przysł. starop.) – koniec z korzystną zamianą

XIII

TEODOR ORDEGA

Jak tylko pan Mateusz przywiózł ciotkę do Brzozówki zaraz kazawszy podać świece i poleciwszy Annie, aby ją zabawiła, pobiegł do swego pokoju przejrzeć zabrane papiery w biurku Bałabanowicza.

Znalazł ich więcej i ważniejszych, niż się spodziewał, bo nie tylko zapisy podkomorzyny, jej dożywocie na dwóch krocach męża, ale obligi jego własne, notatki dowodzące wielu kradzieży, listy, a co najdziwniej indult, za którym ślub dawał wikary i który powinien był odebrać do siebie. Jak tylko zobaczył go pan Mateusz, tknęło go coś, zaczął mu się z bliska przyglądać i poznał, że był fałszowany. To było więcej, niżeli mógł życzyć sobie; prędko więc pobiegł do podkomorzyny.

– Przekonaj się, pani – zawołał – jakiemu to uwierzyłaś człowiekowi, on cię całe życie oszukiwał, on jest złodziejem i fałszerzem!

– Fałszerzem?!

– Tak, bo indult, za którym ślub dany, nieważny i fałszywy! Pani nie jesteś jego żoną, zapisy niszcym, jesteś wolną i panią majątku.

– Ale to być nie może! – zawołała ciotka nie dowierzając.

– To tak dalece jest prawda, że Bałabanowicz za sfalszowanie indultu może być najsrożej karany i, jeśli ja nie będę miał nad nim litości, zginie.

– Nie gubże go – odpowiedziała podkomorzyna wstając i prosząc – i mnie wstydu przez to narobisz...

– Oto są zapisy – rzekł Mateusz – każesz mi je pani zniszczyć?

– Spal je, spal!

Wnet płonęły na kominku.

– Spal i ten indult!

– O! tego nie mogę uczynić – odpowiedział Mateusz – Bałabanowicz zechce nas procesować, a tak mamy go w ręku, ugoda będzie łatwa i ciocia oswobodzona zostanie od niego.

Podkomorzyna nie śmiała się już sprzeciwiać. Pan Mateusz papiery pochował i zalecając żonie, aby o ciotki wygodach myślała jak najstaranniej (chodziło mu o zapisy), poszedł wy-począć.

Nazajutrz ledwie na brzask się miało wysłać po sędziego, który przybył z południa. Nastąpiła długa narada względem tego, jak postąpić należało, lecz nic stanowczego nie zdecydowano, Pan Mateusz śmiało zabierając się procesować o rozwód sądził zawsze, że Bałabanowicz zgodzi się na to dobrowolnie i jeszcze mu coś ze swojego funduszu ustąpić będzie musiał broniąc się od zarzutu fałszerstwa, które, łatwo dowiedzione, zgubić by go mogło.

Mając go zupełnie w ręku czekał spokojnie, ale tego dnia jeszcze nic nie zaszło. Nazajutrz dopiero rano zjawił się znowu sędzia, którego za pośrednika stary skąpiec uprosił. Bałabanowicz zdawał się na łaskę i żądał tylko zwrócenia indultu przystając na rozwód i zniszczenie zapisów; domagał się wszakże zwrotu swoich obligów, listów i notatek. Pan Mateusz nie chciał o takiej zgodzie słuchać. – Cóż to? on mnie ma za szalonego – rzekł – żebym ja mając go w ręku, darował mu? O zapisy nie proszę, bom je zniszczył, rozwód i bez pozwolenia jego stanie, cóż mi da za to, że mu nie będę dowodził fałszerstwa?

Sędzia pojechał z odpowiedzią, ale Bałabanowicz, jak każdy skąpiec, który życie całe grosz zbierał, nie mógł znieść myśli, że utraci choć część majątku. Były chwile, w których nieszczęśliwy przypuszczał raczej myśl śmierci niż wyzucie z pieniędzy, płakał, narzekał,

rozpaczał, miewał chwilowe pomieszenie. Opis jego stanu bynajmniej pana Mateusza nie zmiękczył, on zimno powiedział sobie:

– Mam go w rękę i muszę skorzystać! Byłbym głupi, gdybym tego nie uczynił. Od stu tysięcy ani grosza mniej!

Próżno sędzia usiłował go nakłonić do zmniejszenia sumy, pan Mateusz stał przy swoim i dopiął swego. Wybrał najpewniejsze obligi, na których przelew zapisał Bałabanowicz i dopiero wówczas zwrócił papiery i indult. Zaledwie resztki swego majątku i dowód występkę dostał w ręce, eks-plenipotent wyjechał i zniknął, tak że nikt nie mógł się nawet domyślać, co się z nim stało. Proces i rozwód, na który dał przed wyjazdem konsens⁸¹ Bałabanowicz, po party silnie w konsystorzu⁸² ukończył się pomyślnie i pani Dorota powróciła żyć jak wprzód do Złotej Woli.

Lecz przy tylu zatrudnieniach nie miał czasu pan Mateusz wymóc zapisów na ciotce, a może mniej dbał o nie wiedząc, że majątek i tak na żonę jego spadnie, nie lękając się już nikogo. Zyskane niegodziwie na Bałabanowiczu sto tysięcy zasiliły go w interesach i wróciły mu dobry humor, który objawił się jak wprzód w żartobliwym znęcaniu się nad żoną zawsze równie nieszczęśliwą, opuszczoną i przykutą do jego najmniejszych kaprysów.

Gdy się to dzieje w Brzozówce, Bałabanowicz ucieka, ale nie bez myśli zemsty. Długo on szukał w głowie, długo się zastanawiał nim cień pozoru i sposób zaszkodzenia panu Mateuszowi wynalazł. Gniew dodał mu dowcipu i w końcu wyrozumował, że nie ma innego środka, jak odebrać mu żonę, na której całe jego majątkowe spoczywały nadzieje. Wiedział on, że zapisów nie było, rachował na to, że nie mieli dzieci i powiedział sobie, że gdyby mógł ich do rozwodu doprowadzić, zabiłby pana Mateusza najsrożej by się pomścił. Ukryty w bliskości szpiegował, wywiadywał się i cały oddał się jednej myśli, jednej żądzy pomśczenia się. Przejrzawszy jednak, jakim sposobem mógłby zamiaru dopełnić, środków wynaleźć nie umiał.

Wiedział on, że anielska Anna znosząc wiele cierpienia bez uzalenia się, łagodnie przyjęła życie, jak było, nie przypuszczając podobieństwa przemiany na lepsze. Jednakże pojmował, iż wmięszawszy między małżeństwo trzecią jaką zręczną osobą mógłby krokiem ku zemście postąpić. Pojmował, że mąż, gdyby miał na nią podejrzenie, zacząłby się z nią gorzej jeszcze obchodzić, że przywiedziona do rozpaczony Anna mogłaby się chwycić jakiegoś środka ratunku.

Stanął więc na tym, że należało mu wyszukać kogoś, co by małżeństwo poróżnił: było to trudnym, raz że się musiał ukrywać, po wtóre że nikogo zdatnego ku tej misji szatańskiej nie znał. Nie tracił jednak nadziei i z nieugiętą wolą zemsty, pieszcząc się myślą tą czekał pory, wyglądał człowieka; lecz próżno łamał głowę, szukał, patrzył, próbował, nikt mu się nie zdarzał; cierpliwy czekał jeszcze nie zrażając się wcale. O kilka mil od Brzozówki ukryty wśród lasu w nędznej chacie budnika, żył tylko swoją zemstą i niekiedy z największą ostrożnością czynił wycieczki po miasteczkach, zawsze bezskuteczne, bo nie tam mógł znaleźć tego, kogo potrzebował.

Nigdy by nie mógł być dopełnić, co sobie usnuł stary, gdyby nie dziwny i przyjazny mu skład okoliczności.

Kiedy pan Mateusz starał się jeszcze o Annę, wiemy, że sędzia wspomagając go i chcąc fundusze jego na oko powiększyć dał mu od siebie oblig kondyktowy⁸³ na sto tysięcy złotych, pozwolił go wnieść w akta, a przy sobie dla bezpieczeństwa kwit tylko zatrzymał. Nie myślał potem zaraz skasować długu oblatowaniem⁸⁴ kwitu i rzecz tę, jak była, zostawił. Tymczasem

⁸¹ konsens (z łac.) – zgoda

⁸² konsystorz (z łac.) – urząd biskupi do spraw kościelno-sądowych

⁸³ oblig kondyktowy (z łac.) – warunkowy skrypt dłużny

⁸⁴ oblatowanie (z łac.) – wpisanie do akt

nie wiadomo jakim przypadkiem zginął kwit, a sędzia ufając człowiekowi, dla którego tyle czynił, wcale się o to nie troszczył. Dla jakichś jednak interesów potrzebując znieść ten zmyślony ciężar ze swego majątku upomniął się u pana Mateusza, aby mu kwit przed aktami zapisał oświadczając się, że swój zgubił.

– Wszakżeś mi to darował?

– Ja!? – zawołał sędzia – chybaś oszalał, wszakże mi kwit dałeś. Jakże mogłem czynić ci taki podarunek, chyba bym sam chciał zostać bez kawałka chleba.

Na to wszystko odpowiedział pan Mateusz uśmiechem i zaręczeniem łaskawym, że sumy poszukiwać nie będzie do końca jego życia.

Tak podła zdrada oburzyła sędziego do najwyższego stopnia, nie pojmował, nie przewidywał, że mu się tak może jego ulubieniec wywdzięczyć i śmiertelną powziął ku niemu nienawiść. Rozeszła się o tym pogłoska w sąsiedztwie, ale pan Mateusz już wcale nie dbał o opinię i żartował z niej sobie. Dowiedział się w swoim ukryciu Bałabanowicz o nienawiści sędziego ku swemu nieprzyjacielowi i przeczuwając w nim sprzymierzeńca użytecznego, potajemnie ku niemu pospieszył.

Na widok upioru nie byłby się bardziej nastraszył sędzia jak ujrzawszy Bałabanowicza, który zgryzotami wynędzniały, siny, skurczony we dwoje, przyszedł mu rozwinąć plany swojej zemsty. Wzdragał się przyjąć je z początku sędzia, lecz gdy Bałabanowicz zajątrzył go zręcznie, dał się nakłonić. Chodziło o zdatego i niepodejrzanego człowieka, którego łatwiej daleko było znaleźć sędziemu mającemu rozległe stosunki i nie potrzebującemu się ukrywać. Obrano jednogodnie na kochanka Anny a nieprzyjaciela Mateuszowi niejakiego Teodora Ordeę, człowieka młodego, śmiałego i lubiącego, jak mówią po prostu, awantury.

Pan Teodor Ordega liczył już lat trzydzieści spędzonych częścią w wojsku, częścią na wsi, którą tęgo zadłużoną posiadał niedaleko Brzozówki. Z najlepszym sercem, z najlepszą głową, pełen litości a zarazem zawadiaka i pojedykowicz, jedną ręką sypał jałmużnę i tracił majątek, drugą stojącym mu na drodze obcinał nosy i uszy. Nie wiem, jak się to zgadzało, ale tak było wszakże. Z bliska mu się przypatrzwszy miał coś w postawie, charakterze, twarzy, przypominającego Don Kichota⁸⁵, nosił wąs zawieszisty, chudy był, wysoki, przystojny, ale przesadą jakąś nieco śmieszny. Jak prototyp⁸⁶ lubił romanse i całe życie wzdychał do awantur miłosnych, których mieć nie mógł jak na złość.

Próżno ich szukał, próżno się narażał, zawsze się to jakoś spokojnie i prozaicznie bardzo kończyło. Żadna panna nie chciała mu się dać wykraść, żadna mężatka zbałamucić, to go niemal do rozpaczki przyprowadzało, gdyż zmuszony był w końcu kompromitować się szukając przebranych heroin pod skromnymi sukienkami panien służących. Byłby się już choćby najspokojniej ożenił wreszcie i rzucił oręż u stóp kochanki, ale nie trafiało mu się nic takiego, czym by się nawet niewiele wymagając mógł zadowolnić.

Smutny więc był los pana Teodora Ordegi, który omal, że nazad nie wszedł w służbę coraz ją czulej wspominając, gdy sędzia wystawił mu nieszczęśliwą Annę w takim świetle, że uśpiona już żądza awantur na nowo z całą siłą obudziła się. Zdało mu się, że przeznaczony był do wybawienia jej z rąk tyrańca i nagrodzenia gorącą miłością nieszczęść, których w życiu doznała.

Pan Ordega zapalił się tą myślą, postanowił naprzód pozyskać jej serce, usnuł sobie zabić w pojedynku męża, ożenić się itd. Zdawało mu się to wszystko tak łatwym, jak połknięcie hausta wódki – a co więcej – tak sobie ułożył cały szereg wypadków, tak się przejął swoją bajką, iż najpewniejszy był, że się to co do joty urzeczywiści musi. Znał on Annę i pana Mateusza i bywał u nich, ale dotąd nigdy mu na myśl nie przyszło zakochać się w biednej; że zaś pan Teodor kochał się głową, gdy raz sobie powiedział, że się ma zakochać, uwierzył te-

⁸⁵ Don Kichot – bohater powieści Cervantesa pod tym samym tytułem

⁸⁶ prototyp – pierwowzór; tu chodzi o Don Kichota

mu i był posłuszny. Właśnie pan Mateusz wyjechał był w podróż do wód morskich, które mu lekarze poradzili na osłabienie z nadużycia pochodzące, gdy Ordega myśl zakochania się powziął i nie czekając dłużej postanowił szukać awantur.

XIV

OTÓŻ I MIŁOŚĆ

Dotąd w życiu Anny nie zaświeciła miłość ani na chwilę; ona była już o niej zapomniawsza nawet, a jeśli kiedy przypomniawsza jej książka, rozmowa to uczucie tak sławione, tak rozkoszne, tak nieodbite w życiu kobiety, zdawało jej się zmyśleniem. Osłabiona ciągłą męczarnią nie pojmowała egzaltacji⁸⁷ nieoddzielnej od miłości, sarkazmy⁸⁸ męża także przyczyniły się do zachwiania w niej wiary w uczucie, które on malował jej jako bydlęcy przemijający szal nie mający w sobie nic czystego, nic szlachetnego.

Rzadko nawet przychodziła jej na myśl miłość, a nigdy nie dozwoliła sobie nawet marząc przypuścić, żeby jeszcze kochać lub kochaną być miała. Smutne to było życie tej kobiety odczarowanej na wszystkie najśłodsze nadzieje, której nikt nie pocieszał, nikt nie pomógł znosić cierpienia, z którą nikt nie podzielał nawet myślą i litością męczarni.

W takim to usposobieniu Anny zjawił się przed nią już zakochany Ordega, pełen zapału, z poświęceniem w ustach, z mową płomienistą, z oburzeniem na postępowanie męża (o którym cały świat wiedział), ofiarując się stanąć w jej obronie, kochać ją i choćby zginąć za nią. Pierwsze pokazanie się tego człowieka przejęło Annę choć usposobiona do niewiary w miłość, znalazła ją tak słodką w ustach mężczyzny, uczuła taką radość nieopisaną w sercu, że dozwoliła sobie przeczuwając nowe męczarnie spróbować nowego uczucia. I na jej miejscu, któraż by kobieta odepchnęła pierwszą miłość? Czowała ona, że źle robi pozwalając się kochać, tolerując zakazane przywiązanie; lecz jakże mogła rozstać się tak prędko z tym, co pierwszy raz w życiu obiecywało jej choć słabą nagrodę za tyle cierpienia?

Z ciekawością dziecięcia, z chciwością starca, przed którym życie ucieka, Anna chwyciła się tej miłości, poddała się jej i wyschłe serce żądzami, gwałtownie się, bo raz pierwszy, bo tak późno, przywiązało do człowieka, który odzywał się do niej nieznanymi słowami, językiem, jaki tylko w marzeniach i książkach czytała. Nie widziała w tym występku Anna, postępowanie męża, jego właśnie nauki uniewinniały ją. Zresztą któż jej nie przebaczy, kto nie pojmie, jak koniecznym było oddanie się temu uczuciu tak nowemu, tak ciekawemu, tak niespodziewanie przychodzącemu?

Ordega jak na pierwszego kochanka kobiety, która nie znała miłości tylko z opowiadania⁸⁹, był właśnie najstosowniejszy; to co w innych okolicznościach zdawało by się śmiesznym i przesadzonym, tu dowodziło tylko szczerości i zapału. Jego postawa, twarz, mowa, noszące cechy jakiejś rycerskiej szlachetności musiały się podobać Annie przywykłej do szyderskiego, zimnego spojrzenia i wyżółkłej twarzy egoisty.

Oddana sobie, bez rady, bez przyjaciółki, bez najmniejszego doświadczenia, Anna przyjęła tę miłość jak dzieci cukierki: z nietajoną rozkoszą, z widoczną radością. Jeśli zdarzyło jej się

⁸⁷ egzaltacja (z łac.) – przesadne uniesienie, podniecenie uczuciowe

⁸⁸ sarkazm (z grec.) – szyderstwo, drwina, zjadliwość

⁸⁹ Nie znała miłości tylko z opowiadania (składnia wzorowana na franc.) – tu: miłość znała tylko z opowiadania

pomyśleć o przyszłości, odganiała od siebie natrętne przeczucia, roiła najdziwaczniejsze plany, żeby się przy jednej życia pociesze utrzymać. Jednym słowem łatwiej niżeli się mógł spodziewać zrażony niepowodzeniem Ordega, dała się podbić Anna, i, z zamkniętymi oczyma na skutki dozwoliła mu bywać w domu, nie broniła mieć nadziei, a podbudzona przez niego przysłała do zwierzenia się swojego życia, swojego nieszczęścia.

To zaufanie okazane mu silniej jeszcze podpałiło kochanka, a nowym węzłem połączyło z nim Annę. Znalazła w nim bowiem przyjaciela, przyjaciółkę, których nigdy nie miała. Człowiek ten łatwo się zapalający szczerze uczuł jej nieszczęścia i gwałtownie przywiązał się do niej. Z głowy, w której powstała miłość, przeniosła się ona do serca; i on także całe życie czekał i wyglądał wielkiego przywiązania, i wyciągał ręce do wszystkich, i on był nie rozumiany, nie ukochany od nikogo.

Ordega wkrótce czcił Annę jak bóstwo i wylał na nią cały zapas przez ciąg życia w sercu nagromadzonych, a dotąd mało zużytych. Miłość jego stała się gwałtowną namiętnością, a charakter osobisty nadawał jej ważność stanowczego wypadku, za jaki mają miłość tylko ludzie szczerzy lub młodzi bardzo.

To wszystko odbyło się w ciągu kilku wizyt, które coraz częstsze kończyły się na codziennym widywaniu. Anna nie wahała się, bojąc szpiegów mężowskich, udawać przechadzki, wymykać się z domu i schodzić się z nim w ogrodzie, w lesie. Jej zdawało się to tak naturalnym, tak ją opanowała ta pierwsza miłość, tak ją zaślepiała na przyszłość, na skutki, na wszystko! Przyczyniał się do tego Ordega, który, ilekroć wspominał o mężu, czynił to z niewypowiedzianą wzdargą i lekceważeniem, którymi biedną Annę zaraził. I jej się zdawało, że potrafi postawić mu śmiało, że się go nie zleknie, nabierała sił ze swego przywiązania.

O! jakże szybko czas im upłynął, jak niesłychanie prędko uciekły miesiące naznaczone na pobyt u wód morskich jak straszniejsza co dzień objawiała się przyszłość; jak smutniejsze jeszcze życie cięższe stokroć do zniesienia, po chwilowej przerwie cierpieniom, groziło Annie. Przeczuwała, że ciężko odpokutować będzie musiała za to, że uczuła przecie, iż jest na ziemi choć kropelka szczęścia, choć chwila odurzenia rozkosznego; przeczuwała, że mąż dowie się o wszystkim.

Nieraz przychodziło jej na myśl uciec gdzieś z Ordega, pójść do Rzymu, paść do nóg papieżowi i prosić, aby ją od ślubów uwolnił. Marzyła jak dziecko! a kto by jej myśli podsłuchał, zaledwie by mógł uwierzyć prostocie kobiety, na którą całą szkaradą cynizmu⁹⁰, swego niedowiarstwa oddychał zepsuty człowiek. Lecz ona zepsuć się nie mogła, bo zaraza wchodzi tylko do tych, którzy już są usposobieni do jej przyjęcia, w których duszy jest szczelina otwarta; ona się zgorszyć nie mogła, bo nie pojmowała całkiem złego, nie było na nie miejsca w jej anielskim sercu.

Uczuwszy miłość, Anna całkiem nowy świat ujrziała odsłaniający się przed sobą, wszystko jej się tłumaczyło, odkrywało: pojęła życie. Dotąd ciągle cierpiąc jedną tylko stroną rezygnacji rozumiała wszystko, co ją dotykało; sądziła, że to uczucie jest najważniejszym i jedynym, nieodbitym: teraz przekonała się, że tylko pomocniczym było. Łatwo biedna, uniesiona obecnym szczęściem zapomniała przeszłości wcielając się w terażniejszość: dziwiła się nawet, jak wprzód żyć mogła.

Całkiem nowe skarby odkryła w muzyce, którą już nie jak sztukę, lecz jak tłumaczenie uczucia pojęła; całkiem inaczej widziała siebie i, pierwszy raz w życiu, chciała być piękną i młodą; przekonała się, że jeszcze nią była. O! cóż to były za chwile rozkoszne, kiedy Anna z tym przejęciem się, jakie daje miłość, opisywała Ordedze swe życie, męczarnie, kiedy mu się słodko skarżyła na niedolę i pytała naiwnie, czy wszystkie kobiety skazane są tak cierpieć.

⁹⁰ cynizm (z greck.) – bezwstyd, brak umiaru i powściągliwości, pogardliwy stosunek do osób i rzeczy powszechnie szanowanych

– Mój drogi – mówiła – od czasu mego dzieciństwa nikomu jeszcze nie zwierzyłam się poufale, nikomu szczerze nie wylałam, nikt mnie nie chciał zrozumieć; wszyscy śmieli się ze mnie! A ileż to łez moich nie policzonych noc i dzień spadało, które ciotka i mąż jak zbrodnię mi wymawiali. Pierwszych lat pobytu u ciotki zdawało mi się, że przeszedłszy z objęcia mamy w ten zimny świat jakichś inszych ludzi nie wyżyję, nie potrafię do niego przywyknąć; ale musiałam i cierpiąc oswoiłam się z nimi, choć ich nawzajem nie pojmowałam, jak oni tak żyć mogli.

Ciotka wydała mnie za mąż nie pytając, czyli tego, chcę, czy nie, wiedząc nawet, że mam się lękała jak śmierci tego zameścia, pewna, iż do męża przywyknę, i że między dwoma ludźmi może być tylko różnica twarzy i postawy, nie pojmując, jak Bóg dziwnie różnych ich stworzył i tak niepodobnych sobie.

Nie mogłam oprzeć się ciotce, bo cóż bym zrobiła z sobą? Nie miałam się gdzie podzić, nie miałam się do kogo udać. Mówiłam ci nieraz, co mnie czekało przy mężu: niewola i łzy. A znieść co ja zniosłam, przeżyć co ja przeżyłam, kto inny by może nie potrafił: ja sama nie wiem, czy drugi raz bym mogła. To przechodzi ludzkie pojęcie i miarę cierpliwości, jaką Bóg dał sercu kobiety.

– Czemuż – odpowiadał jej oburzony Ordega – nie starałaś się ulżyć sobie nie poddając się mężowi całkowicie, walcząc z nim, opierając się jego tyranii?

– A jakżem walczyć miała? jestże czym walczyć kobiecie oddanej takiemu człowiekowi, zależącej od niego, gdy wszystka siła z jego strony, a z mojej łzy tylko były? Czymże miałam walczyć? On śmiał się z łez, śmiał się z jęku, śmiał się z mojego oburzenia, żartował z boleści, nie wierzył w żadne uczucie!

Gdybym się śmiała oprzeć, byłby rozgniewany nie wiedzieć do jakich środków ohydnych się uciekł! Ty nie pojmujesz tego człowieka! A nikogo nie miałam za sobą, nikogo; sami w domu, zawsze sami; próżno bym szukała pomocy, rady; człowiek ten jak naumyślnie mnie odosobnił, żeby jeszcze łatwiej dręczył nie wstydzając się nikogo.

– O Anno moja! wołał zapalony gniewem Ordega – teraz masz pomocnika, masz litościwe i oddane ci serce, masz mnie na rozkazy. Ja go zmuszę do innego postępowania!

– Ty? chyba byś chciał siebie i mnie wydać! Ten człowiek tak jest podejrzliwy. On, kiedy mi jeszcze żadne przywiązanie obce na myśl nie przychodziło, sto razy mnie już o nie posądzał.

– Ja go wyzwę i zabiję!

– Ach nie mów tego – odpowiedziała Anna – nie wiem czemu, ale żal by mi go było!

– Więc ty go kochasz?

– A nie! – mówiła naiwnie Anna – mogłabym go kochać po tym, co cierpiałam? Lecz jam mu przysięga.

– Nieważna to była przysięga, bo wymuszona – wołał Ordega – w oczach Boga ty jesteś wolna, same cierpienia twoje już cię ze ślubów rozwiązały!

– A jednak – smutno odzywała się kobieta – ja z nim jeszcze tak długo, zawsze żyć muszę. Dawniej pojmowałam to, mój drogi; lecz dziś, kiedy mi Bóg zesłał pocieszyciela, kiedy kilka dni innego życia mam w duszy, jakże ja te męczarnie zniosę! jakże ja z tym kamieniem u szyi żyć potrafię!

– Uciekaj ze mną! – wołał Ordega.

– Dokąd – odpowiedziała Anna po cichu – cudza żona, cudza własność; mąż dopominałby się o mnie jak o charta, którego by mu skradziono, a świat nie ma wyrozumiałości na nie-szczęście, świat widzi tylko pozory. Nikt by nie wiedział, com cierpiała, każdy by wiedział, com zrobiła, i każdy by mnie potępił.

– Wszakże są prawa, są sądy; możesz powiedzieć, możesz się skarżyć.

– Ja! ja bym się miała odważyć mówić to przed ludźmi zimnymi i nie dowierzającymi, żeby ze mnie szydzili! I Anna zakrywała twarz rękoma płacząc, a Ordega pałający gniewem,

oburzeniem roił tysiąc dziwnych sposobów oswobodzenia jej. Tak upływały miesiące niebytności męża dla Anny; dodajmy, że mimo wszystkich pozorów miłości biednej kobiety, była czysta; nigdy ją nie pokalał nawet swawolny pocałunek. Ona nadto zrażona była cynizmem męża, żeby do swojej nowej miłości przypuściła choć jedno mniej szlachetne, cielesne jej objawienie, z którym by się łączyło przypomnienie Mateusza. Była to więc jedna z tych namiętności platonicznych⁹¹, z których się śmieją, w które tylko młodzi zapaleńcy wierzą, póki świat ich nie rozbestwi i nie popsuje.

Ordęga przy swojej miłości miał tyle uszanowania dla Anny, że nad pocałowaniem jej ręki nie śmiał się wyższego od niej domagać szczęścia. Jej cierpienia przeszłe okrywały ją w oczach jego blaskiem męczeństwa, koroną świętości, kochał w niej nie kobietę, lecz zjawisko jakieś, o którym marzył przez sen, kochał ją sercem młodym, odrodzonym, bez żadnej żądy więcej, tylko widzenia ją szczęśliwą. Taka miłość bywa najrozkoszniejszą, lecz rzadko trwałą, dla Ordęgi i Anny jaśniała ona tylko kilka miesięcy. Raz, kiedy siedzieli w ogrodzie i rozmawiali swobodnie, zaturkotało przed gankiem; Anna się porwała, pobladła, spojrzała i zawołała:

– Mój mąż przyjechał!

Potem bezprzytomna pobiegła ku domowi, a Teodor długo przeprowadziwszy ją oczyma odszedł ze spuszczoną głową.

Zaledwie Anna z bijącym sercem i niepokonaną bojaźnią stanęła na progu domu zwalniając kroku umyślnie, aby pół-chwilą później męża zobaczyć, ukazał się on przed nią z uśmiechem na ustach i powitał:

– Gdzieżeś to biegła? Skąd wracasz tak zarumieniona

– Z ogrodu.

– A jak uważam, nie spodziewałaś się mnie? I cóż, rada jesteś mojemu przybyciu?

Anna nie miała siły na odpowiedź.

– Powróciłem na biedę! – dodał – możesz myślała, że tam już umrę! Ha! Powróciłem z zapasem życia! Cóż tu słyhać? Jak się miewa pani Bałabanowiczowa? Nie widziałaś się z nią? Bywał tu kto w czasie mojej niebytności?

– Nikt – odpowiedziała cicho Anna, ale tak pomięszana, że mąż od razu poznał kłamstwo, zmarszczył czoło i pożałował swojej łatwowierności i zaufania.

– Jak to? nikt a nikt? – I wpatrywał się w nią uporczywie – nikt!!! Będziemy to wiedzieli od sług – zamyślonny przeszedł do pokoju, a Anna weszła za nim drżąca.

XV

MIŁOŚĆ I ZEMSTA

Bałabanowicz z sędzią uważali z daleka postępy Ordęgi i łatwo dowiedzieli się od niego o miłości Anny. Cieszył się tym Bałabanowicz, ale jeszcze nie przewidywał, na czym się kończyć miało. Sędzia, który lepiej znał pana Mateusza, pojmował, że bez porwania Anny i namówienia jej na rozwód na niczym się to skończy, że mąż dowiedziawszy się o wszystkim ściślej ją trzymać zacznie, gorzej jeszcze męczyć będzie, ale sam nigdy nawet myśli rozwodu nie przypuści.

⁹¹ platoniczny – tu: uwznioślony, wyidealizowany

Wiedział także, iż podkomorzyna w przypadku gorszącej jakiej awantury gotowa była siostrzenicę wydziedziczyć, a pan Mateusz dość dał dowodów zręczności, że się po nim spodziewać można było wyłudzenia w takim razie zapisów na jego osobę. Podkomorzyna co dzień starsza i słabsza dawała z sobą czynić, co tylko chciał pan Mateusz, wszyscy słudzy jak pana go słuchali, bo byli przez niego ujęci: trudno więc było bardzo zemścić się na nim.

Sędzia jednak naradziwszy się z płodnym w wybiegi Bałabanowiczem postanowił jechać do podkomorzyny z gotowymi zapisy na imię siostrzenicy poczynionymi, wymóc podpisanie ich, uprzedzić podkomorzynę o uciemżeniu, jakiego doznawała Anna od męża, prosić, aby pana Mateusza nie przyjmowała więcej, i oznajmić, że zmuszona do stanowczego kroku Anna postanowiła zamknąć się tymczasowo w klasztorze a prosić o rozwód.

To wszystko czynił sędzia bez wiedzy Anny pewien będąc, że gdy tym sposobem wszystko przygotuje, Ordega łatwo ją namówi do ucieczki pokazując sposób uwolnienia się od męża i zezwolenie na to ciotki. Ponieważ zaś lękał się sędzia, aby powód jego odwiedzin w Złotej Woli i jego projekta nie doszły wprzód Mateusza, nim Anna skłonioną zostanie do ucieczki, udał się naprzód do Ordegi uprzedzić go i kazać mu mieć się na pogotowiu tegoż dnia, którego on pojedzie do Złotej Woli.

Późno już było, gdy do wioski naszego bohatera czwałem nadjechał sędzia ciesząc się na widok światła w oknach, że Teodora jeszcze czuwającego zastanie; ludzie jednak spali już i ledwie się do domu dostukał. Sam pan wybiegł w szlafroku, mycce, z książką w ręku i przywitał sędziego w sieniach z podziwieniem.

– Cóż cię tu tak późno do mnie sprowadza? – spytał.

– Twój własny interes – odpowiedział przybyły wtaczając się do pokoju, w którym wielki ogień palił się na kominie. Na stole paliła się świeca, porozrzucane były papiery, listy, poschłe kwiaty, medaliony itd. Na ścianach angielskie ryciny Pawła i Wirginii⁹² wisiały, a poza ramy pozatykane sterczały listy jeszcze, bukiety, wieńce nieśmiertelniczek i różne pamiątki. Kilka wazonów kwiatów zieleniały na oknach, w kącie połyskiwała szpada uwinięta krepą nad którą nieco dalej rycerskie trofeum opylone wisiało. Małeńki zegar brązowy wyobrażający miłość w ułańskim szako⁹³, z szablą i ładownicą pokazywał dziewiątą.

Sędzia padł znużony na kanapę.

– Każ mi dać szklanek wody – zawołał – wytchnę i zaraz ci powiem, z czym do ciebie przyjechałem.

Pan Teodor pośpieszył z rozkazem i niespokojny stanął przed sędzią, który rękawem pot z czoła ocierał.

– No – rzekł sędzia – chcesz mieć Annę?

– Dziwne, na Boga, pytanie! – odezwał się Ordega – możnaż tego nie żądać: dałbym życie!

– Możesz ją mieć i taniej! Chodzi tylko o to, aby jutro wieczorem ją wykraść!

– To najmniejsza, ale cóż będzie dalej? – spytał niespokojnie Ordega.

– Ja to wszystko obmyśliłem – gotując się na długi wykład rzekł sędzia. – Ten łotr Mateusz czyha tylko na jej majątek, dla niego się ożenił, dla niego żyje wyglądając śmierci podkomorzyny. Ona jest męczennicą w domu, najniezwyklejszą kobietą. Wiedząc o waszej miłości, panie Teodorze, postanowiłem wam dopomóc. Jutro jadę do podkomorzyny z zapisami na imię siostrzenicy w kieszeni, z zapisami tym bardziej nieodwołalnymi, że je ułożyć kazałem formą obligów na sumę przechodzącą wartość całego majątku podkomorzyny. Wystawię jej los Anny, postępowanie Mateusza z nią, jej nieszczęście, wymogę zapisy i oznajmię, że Anna będzie się domagać rozwodu, a tymczasem przeniesie się do klasztoru.

⁹² Paweł i Wirginia – bohaterowie sentymentalnego romansu Barnarda de Saint-Pierre pt. *Paweł i Wirginia*

⁹³ szako, czako (z węg.) – kaszkiet, czapka wojskowa

Chodzi o to, żeby gdy ja wymogę zapisy, gdy uprzedzę podkomorzynę, pan Mateusz nie dowiedział się o tym, aż gdy żony nie będzie już w domu, inaczej pilnowałby jej, gotów by ją zamknąć, wywieźć gdzie, dopuścić się jakiej zbrodni: jest to bowiem łotr, jakiego rzadko pod słońcem, którego nic nie wstrzyma, nic nie zastanowi, gdy mu chodzi o jego interes. Jutro w nocy potrzeba, żebyś miał gotowe konie, powóz, ludzi, broń na przypadek i oczekiwał mojego oznajmienia niedaleko Brzozówki. Jak tylko dam ci znać, że zapisy podpisane, że podkomorzyna uprzedzona, potrzeba porwać Annę, bodajby przebojem. Czujesz do tego odwagę?

– Ja? – zawołał Ordęga śmiejąc się – ja! a czegoż bym już wart był, gdybym tego nie potrafił uczynić!

To mówiąc poskoczył i uściskał sędziego; porwał za szpadę i krzyknął:

– Choćby mi przyszło paść samemu albo jego zabić!

– Lecz – rzekł sędzia – czy Anna da się wykraść? czy da się przekonać? Może będzie się lękać, a nie wiedząc o dalszych projektach nauczona bać się męża nie odważy się na ten krok.

– Anna – rzekł Ordęga – nie może nie żądać rozwodu, gdy jej tylko zezwolenie ciotki i promyk nadziei pokażem, niechybnie zezwoli!

– To warto zastanowienia – mówił sędzia – często kobiety płaczą i narzekają na swoje życie, a gdy przyjdzie uczynić krok stanowczy, nie odważą się nań.

– Ja jej dodam odwagi! Wreszcie nie jest to jedno z tych drobnych nieszczęść, na jakie się pospolicie uskarżają kobiety, choć je bardzo dobrze znoszą; los Anny jest nie do wytrzymania. Trzeba było tego anioła, żeby zniósł to piekło!

– Jestże i podobieństwo dostania się do domu? znaszże ty jego wewnętrzne rozporządzenie⁹⁴? Można ją porwać, nie narobiwszy hałasu i wrzawy? Czy nie trzeba by ją uprzedzić?

– Gdyby to było podobnym, bardzo by dobrze było uprzedzić ją przez kogo; lecz z drugiej strony, żeby mąż nie powziął jakich podejrzeń! W takim razie byłoby po wszystkim i chyba byśmy ją dostali formalnym oblężeniem. Najlepiej jednak cicho, bez wrzawy tak, aby osób nie poznano, porwanie dopełnić.

Ja na wszelki przypadek do niepoznania się zamaskuję: bo moja przytomność mogłaby szkodzić sławie Anny, tego niepokalanego anioła. Rozporządzenie domu znam dostatecznie, bom u pana Mateusza bywał przed jego weselem. Żona zajmuje teraz pokój z szklannymi drzwiami od ogrodu, ten przytyka do bawialnego, w którym nikt nie sypia, z jednej, z drugiej strony do sieni prowadzących do kancelarii Mateusza, za którą dopiero jest jego sypialny.

Słudzy śpią w sieniach wielkich od dziedzińca, służące na drugiej stronie domu; ogród nie jest bardzo srodze oparkaniony, a furtkę wybić łatwo jednym uderzeniem nogi. Chodzi tylko o to, żeby Anna na pierwsze ukazanie się ludzi nie narobiła krzyku i najlepiej by ją uprzedzić. Listu jednak straszno pisać, straszniej posyłać, a ustnie kto by się podjął tego poselstwa?

– Ja! – odpowiedział sędzia po namyśle. – Będę u niego z rana i tym bardziej go osłepię na to, co ma być wieczór w Złotej Woli. Wprawdzie jesteśmy na zimno, a raczej jak najgorzej, lecz ja jestem obrażony, pojedę niby dla proponowania ugody i znajdę chwilkę jaką do rozmówienia z Anną. Tak nawet lepiej będzie. Jeśli ona się zgodzi, jadę stamtąd do ciotki, a z zapisami w kieszeni powracam tu przed nocą.

– Jakże ci odwdzięczę, przyjacielu, Opatrzności ty moja! – wołał Ordęga klękając przed nim. Mimowolnie przypomniał sobie sędzia, że tymi prawie słowy przemawiał do niego niegdyś Mateusz, i westchnął myśląc: – wszyscyż to tak jak on płacą!

Ordęga porwał się po chwilce i, jakby go myśl nowa uderzyła, rzekł:

– A dadząż jej rozwód?

– Radziłem się o to prawników – rzekł sędzia – mamy za sobą wiele rzeczy. Nie wiem tylko, czy Anna skromna i łagodna zechce, jakby powinna, wszystko powiedzieć, co by mogła

⁹⁴ rozporządzenie – tu: rozmieszczenie, rozkład, plan

zarzucić mężowi. Jednakże wyszperałem już zarzut przeciw ważności ślubu, pokrewieństwo jakieś, bardzo dalekie wprawdzie między małżonkami, a najwięcej rachuję na przyjaciół i pieniądze.

– A jeśli mąż nie zezwoli na rozwód?

– To podobno nie jest koniecznym warunkiem. Zresztą potrafię go do tego przymusić. Obca jednak okoliczność może nam pomóc do tego. Wiesz historia mojego obligu danego panu Mateuszowi? Znalazłem jego kwit, ale ukrywam go i dopiero, gdy egzystencji kwitu zaprzeczy pan Mateusz, ja z nim przyjdę i ze świadkami. Tym sposobem spodziewam się wymóc na nim rozwód, umarzając tę sprawę i nie rozpościerając jej więcej. Pokazując go podłym przywłaszczycielem, jakim jest w oczach całego świata, zabiłbym go ostatecznie na opinii, o którą on nieco więcej dbać zaczyna, bo postępując w lata zaczyna nabierać ambicji i ma ochotę piąć się do urzędów.

Długo jeszcze sędzia naradzał się z Ordegą, który zapalony myślą oswobodzenia Anny, polechtany nadzieją posiadania jej, żwawo i śmiało zabierał się do porwania. Całą noc trwały tajemnicze przygotowania, rozesłani ludzie z końmi rozstawnymi po traktach, przysposobione powozy, przeliczone pieniądze, obmyślane wygody dla podróźnej, narządzona broń na wypadek.

Bałabanowicz ciesząc się tą zemstą ofiarował swoje konie, przysłał przez sędziego potrzebne pieniądze, postarał się paszportów dla Anny i Teodora. Po długiej naradzie postanowiono aby, jeśli się uda wykraść ją bez wrzawy, wszystko tak ułożyć, jakby ona sama uciekała z domu. Ordega powierzwszy doprowadzenie jej do miasta najbliższego Bałabanowiczowi miał powrócić do domu i udawać całkiem obcego tej sprawie. Tę ostrożność doradzała mu myśl o sławie Anny, mogącej szwankować na wykradzeniu przez młodego człowieka, w którym łatwo każdy zalotnika by poznał.

Gdy wszystko obmyślono, sędzia spokojnie układał się na kanapie i kazawszy się zbudzić bardzo rano, aby miał czas odbyć wizytę w Brzozówce i stanowczą czynność w Złotej Woli, zasnął snem sprawiedliwych, a raczej zmęczonych.

Pan Teodor ani mógł przyłożyć głowy do poduszek, tak go jutrzejsze zajmowały wypadki.

XVI

WSZYSTKO PRZYGOTOWANE

– A! Pan sędzia! – zawołał Mateusz widząc go wchodzącego. – Pan sędzia!

– Nie spodziewałeś się mnie?

– Nie śmiałem – odpowiedział pół szydersko, pół niespokojnie gospodarz, któremu na przód na myśl przyszło, czy się kwitnie znalazł. Tak dawno nie miałem tego szczęścia.

– Nie kłam, proszę cię – rzekł sędzia spokojnie – dałeś mi się poznać dostatecznie, na cóż jeszcze te ceremonie! Doświadczwszy twojej wdzięczności, twojej uczciwości, nie chcę już słyszeć o nich więcej.

– Panie sędzio!

– Miałbyś się srożyć? Tego jeszcze brakowało! Przypomnij jakieś podle mnie podszedł, coś ze mną zrobił i oszczędź sobie słów próżnych..

Pan Mateusz nie wiedział, co odpowiedzieć, szukał jednak w głowie, za co by mógł jakiegokolwiek tłumaczenie ucześcić, ale napróżno. Sędzia usiadł i rzekł:

– Trudno, abym ci przywrócił moją przyjaźń i szacunek, nadto cię już znam, panie Mateuszu; chciałbym jednak skończyć z tobą.

– Na cóż kończyć: ja się niczego nie dopominam, ja nic nie chcę...

– Jest to jeszcze łaska z twojej strony, nieprawdaż? I wielka łaska! Lecz ty się dziś nie dopominasz, bo ja żyję, bo nie chcesz, żebym cię tak wystawił przed sądem, jak jesteś, niewdzięcznym, to mało, ale podłym złodziejem.

– Panie sędzio!

– Obrażają cię słowa, a nie bałeś się uczynku? Dziś ty mnie nie zaczepiasz, ale gdybym jutro umarł, powiesz pozajutro moich biednych synowców i wyzujesz ich z ostatniego kawałka chleba za to, że ich stryj podał ci rękę i pomógł: nieprawdaż?

Pan Mateusz gryzł wargi i milczał.

– Chcę więc skończyć z tobą, panie Mateuszu; ustępuję ci coś z twojej kradzieży i będę milczał.

– Ja nie chcę żadnej ugody i nic się nie dopominam – odpowiedział gospodarz – boli mnie tylko, żeś tak się względem mnie odmienił, sędzio.

– A ty?

– Cóż chcesz: prawdziwie, cóż ja ci robię!

– Nie pojmowałem, żebyś potrafił jeszcze usta do tłumaczenia się otworzyć.

– Pan mnie chcesz z własnego domu wypędzić!

– Nie zatrzymuję cię, ale rozumiem, że przynajmniej mi pozwolisz tu odetchnąć.

– Więc ja uchodzę! – rzekł gospodarz porywając za kapelusz. Wyszedł zatrasnąwszy drzwi za sobą, a wkrótce podano mu konia i sędzia ujrzał go z chartami wyjeżdżającego w pole.

Tego mu potrzeba było właśnie; natychmiast więc udał się do Anny, która z bocznego pokoju całej rozmowy słuchała.

– Przybyłem tu dla ciebie – rzekł spieszenie do niej sędzia – nie mam chwili do stracenia. Chcesz być wolną?

– Ja wolną? Alboż to być może? Cóż to jest?

– Dziś będziesz mieć zapisy od ciotki i jej zezwolenie na rozwód; dziś w nocy wyjedziesz stąd do klasztoru i nie wyjdiesz z niego, aż wolną od ślubów i panią swej woli!

– Byćże może?! sędzio! Jakże to się stanie? – zawołała Anna podbiegając ku niemu. – Mogłoby to być?!

– Wszystko jest przygotowane przez twoich przyjaciół: ja ci pomagam. Zostaw drzwi otwarte od ogrodu. Nie mogę dłużej mówić, żeby ludzie nas nie podsłuchali lub nie postrzeegli. Bądź spokojna i czekaj! Bądź zdrowa.

– Tych słów domówiwszy, a widząc z oczu Anny, że się nie potrafi oprzeć nadziei oswobodzenia, pewien jej zezwolenia wyszedł sędzia z pokoju i, nim pan Mateusz wieś minął, wyjechał ze dworu umyślnie spiesząc, aby był przez niego widzianym. Dla niepoznaki minął Złotowską drogę i za laskiem dopiero kazał zwrócić na nią i konie puścić cwałem.

XVII

WYKRADZIONA

W Złotej Woli panował znowu ten sam porządek, ta sama cichość jak wprzód; wróciły dawne zwyczaje: mops używał świeżego powietrza w ganku, zegar jednostajnym gangiem⁹⁵ przerywał tylko ciszę, Jan drzemał z tabakierką w przedpokoju, a pani Dorota ciągnęła kabałę. Wypadki, któreśmy opisali, tak się zatarły, że świadkom ich trudno już było w nie uwie-

⁹⁵ gang (z niem.) – chód zegara

rzyć. Kiedy sędzia zajechał przed ganek, zdawało mu się, że ledwie jedna noc upłynęła od chwili, kiedy tu w interesie pana Mateusza przyjeżdżał: tak dalece wszystko było toż same.

Wysiadł i spytał o panią, Jan wprowadził go poważnie do pokoju i drzwi za nim zamknął. Pani Dorota powitała go jak starą znajomość ze wszelką przyzwoitością i ceremoniami. Podano kawę i sucharki, bo już było po obiedzie; nowe pokolenie piesków asystowało temu, a podkomorzyna jak dawniej nieustannie gderwała na nie.

Przekonawszy się, że nikt ich nie podsłuchuje, sędzia wytoczył swoją sprawę i jak mógł najwyraźniej, najjaśniej, opisał zdradę pana Mateusza względem siebie, jego obchodzenie się z żoną, a nareszcie co przeciw temu uczynić zamierzał, aby Annę ocalić. Podkomorzyna słuchała z atencją⁹⁶, z powagą i z tak zimną krwią, jakby nic nie rozumiała.

– Jednak – dodała w końcu – pan Mateusz ocalił mnie z nieszczęścia.

– Miał w tym swój własny interes – odpowiedział sędzia – bo mu chodziło o zniszczenie zapisów, a do tego korzystając z nieszczęśliwego położenia Bałabanowicza odarł go do koszuli.

Podkomorzyna, która zawsze miała jeszcze jakąś słabość dla swego eks-plenipotenty, bardziej się poruszyła tym przypomnieniem, niż wymownymi żalami nad losem Anny. Postrzegł to sędzia i zrećźnie z tego korzystał.

– Ten biedny Bałabanowicz – dodał – zostaje teraz z łaski jego w największej nędzy, a jednak zawsze życzliwy dla rodziny pani podkomorzyny czuwa nad losem Anny i on to mnie pierwszy namówił, abym się w to wdał.

– Pocziwy Bałabanosio! – odezwała się podkomorzyna – gdzie on jest?

– Ukrywa się niedaleko stąd – rzekł sędzia – oddał się bogoboju i postanowił resztę życia strawić na ustroniu na dobrych uczynkach!

Podkomorzyna coraz bardziej się rozczulała, sędzia tymczasem docierał.

– Chodzi więc tylko – rzekł – aby pani podkomorzyna zerwała zupełnie z panem Mateuszem i ogłosiła się za siostrzenicą.

– Pocziwy Bałabanosio! – szepnęła ze łzami pani Dorota – on to wszystko obmyślił, masz rację, sędzio!

– On tu niechybnie zgłosi się, ale potrzeba mu drzwi zamknąć przed nosem – dodał – tymczasem zaś, uprzedzając jego zdrady, potrzeba podpisać ten obligowy zapis na imię Anny. Tu wydobył z kieszeni gotowy papier, podsunął kałamarz i pióro i, zwracając rozmowę na Bałabanowicza, naglił panią Dorotę.

– Bałabanowicz – rzekł – podał mi tę radę, potrzeba, abyś to pani uczyniła, i dopomogła nam do rozwodu, na który siostrzenica pani z serca się zgodzi, bo nie wiem jak dotąd w tej niewoli wytrzymać mogła.

Oczarowana urokiem imienia Bałabanowicza podpisała eks-podkomorzyna i na wszystko się zgodziła; sędzia nie posiadał się z radości, wpakował papier do kieszeni i pod pretekstem zbliżającego się wieczoru pożegnał panią Dorotę, której jeszcze kilka razy powtórzył, aby dopiero nazajutrz rano wydała rozkaz niedopuszczania pana Mateusza do siebie.

Pewien już, że reszta równie pomyślnie pójdzie sędzia wsiadł na bryczkę i pospieszył oznajmić panu Teodorowi, że wszystko jest gotowe.

W niewypowiedzianej niespokojności oczekiwał sędziego pan Teodor: chodził, wyglądał oknem, wysyłał ludzi na drogi, starą rozsuwał perspektywę, a gdy się ściemniło wyprawił z pochodniami na drogę do Złotej Woli, z tej strony spodziewając się sędziego. Nareszcie ukazała się jego bryczka w dziedzińcu, a Teodor spotkał przybywającego na schodkach zapytaniem:

– A cóż?

– Wszystko dobrze!

⁹⁶ atencj a (z łac.) – uwaga

- Chwałaż Bogu!
- Anna wie?
- Wie, i zgadza się na wszystko.
- Ciotka?
- Podpisała i zezwoliła.
- Więc jedziemy?

– Trzeba się tak wyrachować, abyś tam stanął, gdy się wszyscy pośpią. Jak najciszej pojedziesz pod ogród, a sam pieszo udasz się do Anny, która pewnie czekać będzie... Jak tylko wsadzisz ją do powozu, rozkażesz jechać nie na miasteczko, ale na Gniły Bród: tam ślady znikną i dalej nie będą wiedzieli jak was gonić. Na tylnych kołach powozu ucześcić trzeba wiązki chrustu, żeby na piasku ślady zacierały: inaczej pan Mateusz mógłby dogonić i Bóg wie, co by było. Przełożona bernardynek jest uprzedzona, prosto więc odwiezie ją Bałabanowicz tam; waćpan jutro wrócisz tak jakby z polowania i umyślnie będziesz się pokazywał w sąsiedztwie, żeby cię nie posądzano.

Pan Teodor podbiegł do zegaru.

– Pół do dziewiątej! stąd pół mili do Brzozówki, pan Mateusz kładzie się i zasypia zwykle o dziesiątej, mamy więc jeszcze godzinę czasu!

Podano herbatę i spiskowi, dodając sobie odwagi rozprawiali.

– Gdzież, jest Bałabanowicz? spytał Teodor.

– Czeka na pół drogi. Oddawszy Annę jemu, powrócisz.

– Dobrze. Czy ma powóz?

– Wszystko co potrzeba; zapisy uczynione Annie ja sam wniosę do akt i postaram się o przyznanie ich przed aktami przez podkomorzynę.

Pan Teodor spoglądał niespokojnie na zegar i bawił się pistoletami, które miał u pasa.

– Pan Mateusz nic się nie domyśla?

– Sądzę, że nic wcale; zostawił mnie sam na sam z żoną, gdym go łajać zaczął i pojechał na polowanie!

– Będzie miał dziś polowanie! – zawołał Ordega – a jeśli mu się zamarzy przeszkodzić... to – i wskazał na pistolety.

– Jednakże lepiej dla Anny i dla nas, jak najostrożniej tego dopełnić – rzekł sędzia – rzeczy mogą całkiem inny wziąć obrót, jeśli przyjdzie do wrzawy i strzałów. Daj Boże, aby się bez tego obeszło.

Do wpół do dziesiątej rozprawiali tak niespokojni obaj, aż gdy miała bić wyznaczona godzina, porwał się pan Teodor, uściskał sędziego, który wracał natychmiast do domu, rzucił się w powóz i rozkazał ruszać.

Noc była jakby naumyślnie chmurna i ciemna, gęsta mgła jesienna okrywała ziemię, powietrze wilgotne i ciężkie; niekiedy wiatr powionął chłodny i upadł, a po nim znowu następowwała cisza uroczysta jesieni. Zostawiony sam sobie Teodor palił się swymi myślami; chociaż odważny doznawał mimowolnie jakiegoś uczucia niespokojności, które go dręczyło; rad był, prędzej niebezpieczną czynność dopełnić; zdawało mu się raz, że powóz toczy się za powoli, że godzina wyznaczona upłynęła: to znów porwany przestraczem, którego nigdy jeszcze w życiu był nie doznał, lękał się końca, chciał go odsunąć.

Przejeżdżając las usłyszał głos puszczyków i serce mu bić zaczęło. W tym lasku schodzili się oni z Anną, przypomniały mu się te chwile niebieskie i nabrał odwagi, którą znowu tracił myśląc o niebezpieczeństwach tej nocnej wycieczki. Wszystkie najgorsze tego wypadku następstwa stawały mu na myśli, przypuszczał śmierć swoją, śmierć męża, walkę, itp.

Nagle powóz się zatrzymał u bramy ogrodu i Teodor wyrwany myślom wyskoczył z niego mimowolnie się żegnając a zalecając ludziom jak najgłębsze milczenie. Wziąwszy pistolety i szablę wyłamał furtkę i wszedł do ogrodu. Tu zaszeleściły mu liście pod nogami i włosy stanęły kołem; nieprzytomny zbłądził w znajomym ogrodzie i zmuszony był usiąść na ławce,

żeby przyjść do siebie. Uspokoiwszy się wreszcie i rozpoznawszy, gdzie się znajdował, śmielej postąpił ku drzwiom szklanym pokoju Anny.

Nie było światła, a Teodor łatwo dostrzegł, że je zostawiono półotwarte. Nie widząc światła w żadnym oknie i zupełną spokojność wszędzie znajdując odwiódł kurki pistoletów, uchylił drzwi i wszedł do pokoju. Drzwi zaskrzypiały przeciągłym głosem i ktoś go pochwycił za rękę. Po szeleście sukni, po gorącym oddechu poznał Annę i spieszenie schwyciwszy ją w pół wybiegł do ogrodu. Tu, nie przemówiwszy słowa, leciał z nią do powozu, co chwila marząc o pogoni. Zdawało mu się, że cały wiek trwała ucieczka, a każdy liść szeleszczący pod nogą przestrasza go: sto razy chwycił pistolety i chciał poza siebie strzelać.

Anna spieszyła za nim w milczeniu, zwieszona na jego rękę. Nareszcie ujrzeni furtkę i powóz: otwarły się drzwiczki, a ledwie Teodor postawił nogę na stopniu, konie puściły się cwałem. On swobodnie odetchnął.

– Jesteś wolna – rzekł do Anny.

A Anna płakała, nie słyszała jego słów i zakrywszy twarz, jakby popełniła zbrodnię, wstydziła się spojrzeć na świat. – Biedna Anna!

XVIII

KTO Z NICH LEPSZY

Pan Mateusz spał spokojnie kiedy się to działo, lecz przebudzenie jego nazajutrz było straszną burzą; służy truchleli ze strachu, przewrócono dom do góry nogami. Gniew pana Mateusza był nie do opisania; nie pojmował tego wypadku, nie spodziewał się go, nie umiał sobie wytłumaczyć, jak się to stało, nie dorozumiewał się wcale niczyjej intrygi, nie wiedział, kogo o nią posądzać. W pół szalony latał po domu, szukał śladów, biegał za kolejną powozu, ale dzięki staraniom sędziego w Gniłym Brodzie kończył się ślad i dalej nie można było wiedzieć, co się z powozem stało.

Mateusz rwał włosy na głowie i tyle chciał razem rzeczy czynić, że żadnej dopełnić nie mógł, bo trudno mu było na jedne się zdecydować. Chciał gonić wszystkimi drogami, szukać na wszystkie strony, przychodziły mu najdziwniejsze myśli. Ludzie jego mieli go za obłąkanego.

W tej rozpaczy nie potrafił nawet nikogo posądzać, ani sędziego, ani Teodora, ani się domyślił współnictwa ciotki. Skutkiem niedeczności południe przyszło, a on jeszcze nic nie zrobił; z południa udał się do Złotej Woli i tu dopiero, gdy go do ciotki nie dopuszczono, zmiarkował, że się to stało za jej wiedzą i co go srożej jeszcze ubodło. Dowiedział się o wczorajszej bytności sędziego, połączył ją z ukazaniem się rannym w Brzozówce, trafił nareszcie na ślad jego zemsty i pospieszył do niego.

Sędzia prawie pewien był, że pan Mateusz do niego przyjedzie: czekał go i napawał się myślą zemsty.

Jak szalony wpadł do niego pan Mateusz.

– Gdzie jest moja żona? – zawołał.

– Twoja żona? dażesz mi ją do schowania? – odpowiedział sędzia zimno.

– Pan żartujesz ze mnie! Ja wiem o wszystkim.

– Więc powinienes zapewne wiedzieć, gdzie się ona znajduje – rzekł spokojnie sędzia.

– To twoja zemsta, sędzio! to twoja sprawa! – krzyknął Mateusz – ale na całe piekło, ja się pomścić potrafię, ja się okropnie pomszczę!

– A to mścij się, tylko daj mi pokój, bo nie wiem nawet. Co ci rozum pomięszało.
 – Moja żona, moja żona uciekła... wykradła się dzisiejszej nocy... moja żona...
 – Powinna to była daleko wprzód jeszcze uczynić.
 – Sędzio, tyś do tego wpływał!
 – A gdyby i tak było?
 – Ty chcesz odzyskać swój oblig, ja wiem – dołożył Mateusz – ha! oddaj mi żonę. tę niegodziwą, tę... ja zwracam twój zapis.
 – Ja go nie potrzebuję – rzekł sędzia zawsze z największą spokojnością – znalazłem kwit i wniosę go przed akta!
 Tak! – I pan Mateusz osłupiał! – Ha! więc chcesz ugody, chcesz więcej, chcesz co utargować. Wiesz wiele warta Anna, czego chcesz ode mnie, mów!
 – Ja nic nie chcę od ciebie, tylko żebyś mi dał pokój.
 – Sędzia! żartujesz sobie ze mnie, ja wiem...
 – Może i żartuję! – odpowiedział nieporuszony sędzia. – Jeśli wiesz, gdzie twoja żona, idźże jej poszukaj!

Mateusz tracił głowę, ale widząc w ostatku, że nic tu nie dokaże, wybiegł z pokoju i pojechał. Nie wiedział już co dalej począć z sobą i, dusząc się z gniewu i bezsilnej złości dojeżdżał do Brzozówki, gdy obdarty chłopiec jakiś zastąpił mu drogę niosąc karteczkę w rękę.

– Co to jest?
 – List do pana.
 – Kto ci go dał.
 – Jakiś nieznajomy.

Przewidując, że to pismo musi mieć jakiś związek z wypadkami wczorajszymi porwał je i rozdarł z pośpiechu pan Mateusz.

Na karteczce były te słowa:

„Życząc się widzieć z Wp. dobrodziejem w bardzo pilnym interesie, mam honor oznajmić mu, że na niego oczekuję w karczemce na trakcie, zwanej K o z i a, do godziny dziewiątej wieczorem. Interes ten więcej go obchodzi niż mnie.

Najniższy sługa
 G. B a ł a b a n o w i c z m.p.“

Pan Mateusz nie pojmował, jaki mógł mieć związek z wypadkami wczorajszymi Bałabanowicz, o którego nawet znajdowaniu się w sąsiedztwie nie wiedział; jednakże przecucie mówiło mu, iż ten człowiek może coś wiedzieć. Nie zsiadając więc z bryczki pędził ku Koziej karczemce, położonej o dobrą milę od Brzozówki. Późno było, gdy tam stanął i ledwie się dostukał. Wszedłszy ujrzał kogoś leżącego na stole i chrapiącego mocno.

Był to Bałabanowicz.

Rozdmuchano przygasły ogień w kominie, a eks-plenipotent, który spał ubrany, porwał się na widok pana Mateusza.

Pierwsze spojrzenia tych dwóch ludzi na siebie były przestraszające przenikliwością; zdawali się mierzyć, nim mieli przystąpić do walki. Wreszcie pan Mateusz niecierpliwy zawołał;

– Wpan mnie tu wezwałeś?
 – Tak jest.
 – Jaki masz do mnie interes?

Bałabanowicz bez żadnego fałszywego wstydu rzekł:

– Pan mnie odarłeś, przywiodłeś mnie do kija i torby.
 – I cóż z tego? – przerwał mu przybyły – to chodź z torbą i kijem.
 – Pan mając mnie w rękę wydarłeś mi to, na co ja całe życie pracowałem.
 – *Co ja całe życie kradłem.*

– Jeśli kradłem, to nie u niego – odpowiedział Bałabanowicz – teraz ja mam go w ręku i muszę swoje odebrać.

– Jak? co? co ty mówisz?

– Mówię i powtarzam, że mam cię w ręku.

– Jakim sposobem?

– Ja to postarałem się, aby ci żonę wykradziono, w moim ręku jest ona; teraz wybieraj prędko: albo mi oddaj, coś wzięła, we dwójnasób, albo pożegnaj się z żoną i majątkiem.

Pan Mateusz skoczył na Bałabanowicza i chwycił go za piersi.

– Daj pokój – rzekł eks-plenipotent spokojnie – ja mam z sobą ludzi.

Pan Mateusz odskoczył zżymając się.

– Mam z sobą ludzi – powtórzył Bałabanowicz – nic mi nie zrobisz siłą, a choćbyś mnie tu podarł na sztuki, na nic by ci się to nie zdało; bo nie powiem słowa, póki nie stanie ugoda.

– Czegóż ty chcesz? – wrzasnął pan Mateusz – czego ty chcesz stary?... gdzieś ją podział?

– Powoli – odpowiedział Bałabanowicz. – O to tu naprzód chodzi, ażebyśmy zgodzili się na warunki; twoja żona jest w moim ręku i dobrym ukryciu. Staralem się, aby ci ją wykradziono dlatego, aby odzyskać, coś ty mi wydarł. Ja byłem sprężyną wszystkiego; ja namawiałem, ja pomagałem, ja nasadziłem tych, co ją wykradli. Teraz albo oddasz mi nazad moje obligi i drugie tyle mi dodasz jeszcze od siebie, a za to odzyskasz żonę, to jest majątek jej, albo stracisz ją przez rozwód, który jest przygotowany. Wierz mi, gdybym był tobą, wolałbym dać jakie sto tysięcy, niż stracić uporem Złotą Wolę, Dorotyńki i Kijany!

Pan Mateusz nie wierząc swoim uszom, nie pojmując, co się z nim działo, chodził wielkim krokiem po izbie i myślał.

– A cóż mnie zapewni, że ty prawdę mówisz, że moja żona jest w istocie w twoim ręku?

– Jeśli mi nie wierzysz, to jak chcesz; ja się innym sposobem wynagrodzę – odpowiedział eks-plenipotent. Jeśli mi dasz słowo i podpiszesz, zaraz cię do żony zawiozę. Wybieraj zresztą! Samo z siebie! wybieraj!

Wahał się jeszcze Mateusz, Bałabanowicz zaś oczekiwał na pozór spokojnie skutku, którego był prawie pewnym. Stary lis dobrze się wprzód wyrachował i teraz zimno, powoli, obojętnie rzecz traktował.

– No, słowo, to i skończym – spytał po chwili.

– Zgoda! zgoda, rozbójniku! – odpowiedział z gniewem Mateusz. – Zarzynasz mnie, ale cóż mam poradzić. Mówże: gdzie jest? jak się dała uprowadzić?

– Podpisz wprzód, bo ja ci nie wierzę! – rzekł eks-plenipotent.

– Nielepiej i ja ufam tobie – odpowiedział Mateusz przebiegając okiem podane mu papiery i zżymając się – podpiszę; gdy mi żonę oddasz!

– Oho! ho! Także masz mnie za fryca⁹⁷! – przerwał stary – podpisz tu, inaczej cię nie poprowadzę; a jeśli mi nie wierzysz, o co ja s a m o z s i e b i e nie dbam, to schowaj papiery i nie oddawaj mnie ich, aż na progu domu, w którym jest twoja żona. – Zgoda?

– Zgoda! I pan Mateusz podpisał papiery szybko, zwinął i schował. – Teraz jedźmy!

– Jedźmy – rzekł Bałabanowicz wkładając czapkę – konie moje stoją gotowe.

Z trudnością mógł rozpoznać pan Mateusz, dokąd go wieziono, a chociaż okolice jako myśliwy nieraz zwiedził, wśród ciemnej nocy wjechawszy do lasu po kilku zakrętach bryczki zupełnie stracił pamięć miejsca. Noc była chmurna, las gęsty i podszyty, ich dwóch a woźnica trzeci; dreszcz poszedł po panu Mateuszu, gdy sobie swoje położenie wytłumaczył i znalazł się na łasce nieprzyjaciela. Wszakże nie pokazywał po sobie bojaźni i milcząc jechał dalej. Bałabanowicz milczał nie kierując furmanem, który ze swej strony więcej się zdawał na konie spuszczać niż na siebie; puszczał im cugle i poświstywał tylko dla przyspieszenia ich biegu.

Na koniec pan Mateusz przerwał milczenie pytaniem:

⁹⁷ fryc (z niem.) – początkujący, niedoświadczony; tu: naiwny

– Dalekoż to jeszcze?
 – Nie bardzo – odpowiedział Bałabanowicz.
 – Powiesz mi teraz, jak się to stało? – dodał Mateusz.
 – Teraz ci powiem – rzekł eks-plenipotent – bo to już nikomu nie zaszkodzi: moja to sprawa i sędziego.
 – O! domyśliłem się, że sędzia miał w tym udział, ale ja mu to oddam.
 – Należał do tego i ktoś trzeci jeszcze.
 – Ktoś trzeci?
 – Tak, pan Teodor Ordega, który się kochał w twojej żonie i...
 – Pan Teodor? on?
 – Widywali się często, kiedyś był u wód. Myśmy go tam z sędzią popchnęli i łatwo żonę twoją zbałamucił.
 – A ja o tym nie wiedziałem! – zawołał pan Mateusz.
 – Samo z siebie! Myśmy go namówili, żeby ją wykradł, a w pół drogi powierzył ją mnie, sam dla niepoznaki wrócił nazad! Ja ją teraz ukryłem w pewnym miejscu – to i cała historia.
 Mateusz milczał, a z gniewu szarpał na sobie odzienie i rzucał się na siedzeniu. W tej chwili ukazało się rześiste światło między drzewy przeglądające przez drobne szyby chaty budniczej
 – To tu? – spytał niecierpliwie Mateusz.
 – Tu! - rzekł Bałabanowicz.
 Zbliżyli się po cichu i wysiedli, lecz eks - plenipotent stanął na progu i zaparł mu drogę.
 – Proszę o papiery.
 – Masz je, masz, puszczaj! – zawołał popychając go Mateusz i papiery rzucił, a sam wpadł do sieni.
 Bałabanowicz schował papiery, zapiął prędko suknię i schwycił za klamkę. Otworzył nagle drzwi, przez które buchnęło światło i ciepłe powietrze, i z piekielnym śmiechem krzyknął w uszy panu Mateuszowi:
 – Oto twoja żona!
 Pan Mateusz stał w progu osłupiały, bo w izbie chaty widać było na tapczanie zakrytym całunem ciało Anny uwinięte w bieliznę; przy nim paliły się świece, a mężczyzna jakiś klęczał i modlił się płacząc.
 Był to pan Teodor Ordega. – Anna umarła w drodze.

XIX

SŁÓWKO JESZCZE

Kiedy w kilka dni potem spuszczone ciało biednej Anny do mogiły, modlili się za nią obcy tylko, płakali, jej nieznajomi, a ksiądz, który kilką słowami wspomniął ją u grobu, chwalił męża wysoko, że suto jej pogrzeb zapłacił, chwalił ciotkę, że ją tak zacnemu oddała obywatelowi, chwalił i chwalił wszystko, nawet szczęście, któremu tak wcześnie wydartą została! Był jednak obcy, co tego słuchał, i kiedy zasypano trumnę, odezwał się odchodząc powoli:
 – Mój Boże! wartoż się było rodić!

Omelno. Wrzesień 1839.